

# KUŹNICA

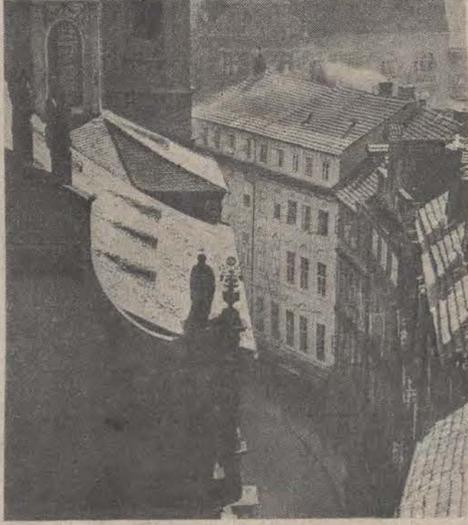
Rok V

Łódź, 20 lutego 1949 r.

Nr 7 (180)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ZE STAREJ PRAGI



(do reportażu R. Matuszewskiego „Czeska jesień” na str. 3)

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

## Interesuje nas człowiek

**C**HARAKTERYSTYCZNA cechą dyskusji szczecińskiego Zjazdu Literatów było przesunięcie punktu ciężkości rozważań ideologicznych na problem człowieka widzianego w aspekcie przeobrażeń społecznych naszej codziennej rzeczywistości. Świadczy to o słusznym kierunku rozważań zjazdowych. Nie sam temat bowiem decyduje o twórczej postawie pisarza, lecz istota konfliktu wydobyciego z tematu, istota konfliktu, ożywającego konstrukcję fabularną, która wypełnia temat życiem, myślą, a co najważniejsze, człowiekiem, realnym człowiekiem umiejscowionym w czasie i przestrzeni wydarzeń, widzianym w przekroju opisywanych zjawisk, w dialektycznym procesie przeciwieństw życia, wreszcie w przekroju własnego „ja”, w jego negatywie i pozytywie, w jego rozwojowym ruchu w przyszłość.

Bo człowiek naszej epoki winien być człowiekiem pełnym. W twórczej pracy, w przełamaniu sprzeczności, w tragiźmie niepowodzeń, w bohaterkiej śmierci i w trudnym zwycięstwie. I dla nas, marksistów, nie jest obcy tragizm konfliktów ludzkich. Lecz tragizm ludzi walczących o socjalizm jest tragizmem twórczym, jest tragizmem ludzi widzących nawet w śmierci swojej zwycięstwo przyszłych pokoleń.

W przeciwieństwie do filozofii katolickiej, uczące człowieka pokory wobec niewiedzy bytu, socjalizm wyzwala w człowieku głęboką wiarę w jego moc poznawczą, w jego siłę przeobrażenia świata, wyzwala go z więzów przesądów i tradycji, zakłamania wewnętrznego, z bezsensu dreptania na marginesie twórczego potoku życia. Socjalizm wyzwala tym samym świadomość prawdziwej wolności człowieka. Wyzwala w nim poczucie jego własnej wolności.

Wolność człowieka nie wyczerpuje się jednak w osądzie sumienia pojedynczej jednostki. I nie mierzy się subiektywną miarą poszczególnych ludzi. Tak jak człowiek jest zjawiskiem społecznym na tamie określonego czasu, tak też wolność człowieka jest kategorią historyczną, uwarunkowaną formami istnienia społeczeństw ludzkich.

Pierwszym warunkiem wolności — mówi Fryderyk Engels — jest poznanie, wykrycie i naukowe opanowanie praw natury. Każda tajemnica wydarta przyrodzie i przekuta w narzędzie myśli i czynu człowieka, to krok ku wolności. Wielka, trudna i tragiczna w swym heroizmie droga pokoleń ludzkich do wolności, to droga

naukowej myśli człowieka, która wbrew przesądom religijnym, wbrew klątwom, inkwizycjom, dogmatom i objawieniom torowała prawdziwie obiektywną drogę do świadomości ludzkiej.

Drugi warunek wolności — to poznanie, wykrycie i planowe wykorzystanie praw rządzących rozwojem gospodarczym i społecznym gromad ludzkich. Wykrycie dźwigni historii człowieka w postaci walki klas, wylaniającej każdorazową antytezę przeżytych już formacji ekonomicznych i ustrojowych, to dalszy krok człowieka ku wolności.

Wykrycie jednak tej obiektywnej prawdy dane było, w osobie Karola Marksa, dopiero klasie robotniczej, ponieważ dopiero klasa robotnicza znosząc prywatną własność środków produkcji, a tym samym wszelką formę wyzysku człowieka przez człowieka, zdolna była do tego, by przyjąć postawę naukowego obiektywizmu, czyniąc z niej świadomy oręż swojej walki i planowej organizacji codziennego życia socjalistycznych społeczeństw.

Trzecim warunkiem wolności ludzkiej jest poznanie, wykrycie i świadome kształtowanie praw składających się na psychiczną postawę człowieka. To świadoma samokontrola swoich emocji, odruchów, myśli i czynów. To świadoma analiza i świadoma konfrontacja swojej syntezy życia z syntezą obiektywnego rozwoju wydarzeń. To świadomy wysiłek w budowanie samego siebie w burzliwy proces dziejów. To świadomy, twórczy udział w historii człowieka.

Stąd też wolność nie przychodzi do człowieka jak bezwolna ofiara do zaklamanca gusek. Wolność zdobywa się w walce. W walce o prawdę obiektywną, o sprawiedliwość społeczną, o naukowe widzenie rzeczywistości, w walce o wyzwolenie własnej klasy, własnego narodu — i własnego „ja”, które na tej drodze oczyszcza się z drapieżnej moralności kapitalizmu, z jego przesądów, z jego zakłamania, z jego niewiary w człowieka, z jego kultu podłości, wyzysku, mordu i nienawiści, faszystowskiej nienawiści człowieka do człowieka.

Walka więc o wolność to proces historyczny trwający tak długo, jak długo trwa droga dziejowa człowieka. Socjalizm — to nowy, olbrzymi skok naprzód, zbliżający nas do krainy wolności. Socjalizm — to walka o pełnego człowieka w tym najszlachetniejszym, najpiękniejszym tego słowa znaczeniu. To epoka nowego humanizmu w życiu i kulturze narodów. To nowa epoka prawdziwego człowieka. I tym się tłumaczy że w postawie marksistów nie ma dogmatycznej nie-

cierpliwości i dogmatycznej nietolerancji, tak właściwej katolickiej filozofii. Nasza filozofia jest zaprzeczeniem wszelkiego dogmatyzmu, ponieważ opiera się o naukową metodę widzenia zjawisk, przemian z żywego procesu ich przemian, ich rozwoju — w sferze obserwacji, myśli i syntezy naukowej. Nasza filozofia jest w tych warunkach zaprzeczeniem wszelkiego schematyzmu, bo tak jak proces rozwoju jest wieczną nieskończonością, tak też proces rozwoju wiedzy, naukowej syntezy jest niekończącym się postępem.

Marksieści nie przychodzą więc do człowieka z objawieniem swojej filozofii, lecz cierpliwie i wytrwale uczą go, jak z obiektywizmem naukowym obserwować i studiować przyrodę i społeczeństwa ludzkie oraz istotę walki rozdzierających je dotąd, jednocześnie w walce tej niejako samemu się stwarzając. Dlatego również na zjawisko powstawania kultury socjalistycznej patrzymy nie jak na gotowe dzieło sformułowane przez powołanych do tego specjalistów, lecz jako na twórczy proces, uwarunkowany społecznie i z kolei przełamujący się w myśli poszczególnego pisarza, kompozytora czy plastyka, w jemu tylko właściwej subiektywnej wizji artystycznej, jako na proces stopniowego narastania elementów nowej świadomości, w pewnym dopiero momencie przerastającej w nową jakość.

Nie znaczy to jednak, że hołdujemy zasadzie żywiołowości. Wręcz przeciwnie, nic nie ma dla nas bardziej obcego niż żywiołowość. Twórcza świadomość człowieka jest warunkiem twórczego kształtowania zjawisk. To znaczy — świadomej walki z tymi, których kierunek rozwojowy zamyka się w negacji, i świadomej pomocy w stosunku do tych, których przeciwieństwa wewnętrzne są wyrazem twórczych poszukiwań, twórczych zamięszeń o mrówczą pracę dni naszych.

Toteż nigdy żaden z teoretyków marksistowskiej estetyki nie mógł wysunąć żądania, żeby sztuka narodu budującego socjalizm ograniczyła się wyłącznie do problematyki robotniczej.

Interesuje nas problematyka człowieka jako część składowa całości zagadnienia. Tym samym zachowujemy pełną świadomość, że nowa postawa humanistyczna epoki socjalizmu wyrasta z klasowej walki mas pracujących. Lecz to nie jest jedno i to samo.

Stąd też interesuje nas istota konfliktów naszej epoki w przekroju duszy zarówno robotnika, inteligenta czy chłopca, jak wroga klasowego. Pisarz, który nie potrafi wydobyc patosu, tragizmu, twórczej siły czy myśli przewodniej wyda-

„Ludzie, stając się wreszcie panami swych własnych form społecznienia, stają się zarazem panami przyrody — stają się wolni”.

Fryderyk Engels

## TREŚĆ NUMERU:

- WŁODZIMIERZ SOKORSKI —  
INTERESUJE NAS CZŁOWIEK
- • •
- OBRADY KOMITETU INTELEKTUALISTÓW W PARYŻU
- ALEKSANDER JACKIEWICZ —  
OPOWIEŚĆ O SAMOTNYM  
ŁOTRZE
- RYSZARD MATUSZEWSKI —  
CZESKA JESIEŃ
- JAN KOTT —  
KRYTERIA WYBORU
- LUCJAN RUDNICKI —  
UNIwersytet
- JAN SMUTEK, ANNA KAMIENSKA,  
MIECZYŚLAWA BUCZKÓWNA, JAN  
ŚPIEWAK, MIROŚLAW OCHOCKI  
WIERSZE
- EDMUND ZALEWSKI —  
CHRISTO BOTEW
- CHRISTO BOTEW —  
WIERSZE
- EDWARD MARTUSZEWSKI  
POWIEŚCI HISTORYCZNE  
HOWARDA FASTA
- BD  
AMERYKAŃSKI „GERMINAL”
- ADOLF SOWIŃSKI —  
MAŁY PASZKWIŁ NA DUŻEGO  
MEALNES'A
- IGNACY WITZ —  
NA MARGINESIE KRAKOWSKIEJ  
WYSTAWY SZTUKI  
NOWOCZESNEJ
- PH  
CZEGO NIE POWIEDZIELI TEO-  
RETYCY  
KRONIKA RADZIECKA  
KORRESPONDENCA  
NOTY

rzeń, nie potrafi pokazać ich w określonym, realnym konflikcie, musi stoczyć się do naturalizmu, do bezbarwnej opisowości reportażowej fotografii. Każda dynamikę dziejów należy pokazywać przez człowieka i to nie tylko przez umiejscowienie go w wydarzeniach, lecz przez ukazanie jego konkretnego udziału w konfliktach społecznych, które tym samym stają się konfliktami jego własnej osobowości.

Nie dość więc opisać odbudowę fabryki czy miasta z ruin lub montaż nowych zakładów przemysłowych, a nawet założenie spółdzielni produkcyjnej. Lecz należy pokazać, jak konkretny człowiek zmienia się podczas tej budowy, jak załamuje się w nim konflikt między starym, najejnym a nowym, socjalistycznym stosunkiem do pracy. Jak ten twórczy, chwilami bolesny proces wdziera się do życia rodzinnego. Jak zmienia to życie, rozbudowuje je. Jak rośnie braterstwo człowieka. Jak zwątpienie przeradza się w zwycięstwo woli ludzkiej. I jak słabość rodzi zbrodnię. Jak stare i nowe stanowią dwa oblicza tego samego procesu, stale i nieustannie narastającego. Jak płacze się pod nogami bezsens i przestępstwo przeszłości. Jak skłócenie wewnętrzne, brzmienie tradycyjno-mistycznych czy mistyfikacyjnych nawyków może w ostatecznym rachunku znaleźć tylko dwa rozwiązania: pozytywne lub negatywne — wiodące naprzód lub osadzające na mieliźnie.

Takich konfliktów jest oczywiście bardzo wiele. Moje przykłady niech po prostu służą dla zilustrowania odkrywczej metody realizmu socjalistycznego, w przeciwieństwie do empirycznego naturalizmu czy też bezpłodnego mistycyzmu. Niech będą ilustracją twórczej postawy marksistowskich pisarzy, którzy widzą problem człowieka nie na marginesie jałowych utyskiwań o katastrofizmie życia, przypadkowości doznań psychicznych i melancholijnych wzdychań do skrytej rzekomo przed oczyma ludzkimi tajemnicy absolutnej prawdy i absolutnej wolności, lecz którzy w swojej codziennej twórczości sięgają po istotę i sens walki człowieka, jego doznań, jego przejść, jego dramatów, jego cierpień i jego zwycięstw. Jego wielkich zwycięstw rodzących prawdziwego człowieka. Rodzących kulturę socjalistycznego oświecenia i socjalistycznego humanizmu.

Włodzimierz Sokorski

## Obrady Komitetu Intelktualistów w Paryżu

W ostatnich dniach obradował w Paryżu — wybrany na Kongresie Wrocławskim — Komitet Intelktualistów w Obronie Pokoju.

Kiedy rzecznicy wstecznej polityki, mającej określone ostrze klasowe i zwróconej przeciw siłom postępu, głoszą hasła izolacji polityki (oczywiście polityki postępowej) od kultury, hasła swoiście pojmowanej „nieinterwencji” polityki w sprawie kultury — jest to może najbardziej nieodparty dowód, że skuteczną, rzeczywistą obronę, więcej, ocalenie kultury zapewnią narodom odważna i konsekwentna polityka, jaką prowadzi światowy obóz pokoju przeciw organizatorom „trzeciej wojny”.

Kongres Wrocławski dał temu dobitny wyraz. Stwierdził, że obrona pokoju jest obroną kultury.

Ala obrona pokoju to coś zgoła innego, niż sentymentalne (jeżeli nie obłudne) deklaracje pięknoduchów czy apelowanie do humanitarnych uczuć lub rozumu tych, dla których póki jest klęska.

Obrona pokoju to czynny udział pisarza, artysty, uczonego w międzynarodowym froncie walki z imperializmem, prowadzonej dziś przez narody całego świata pod przewodnictwem wielkiego państwa socjalizmu. Przez cały glob ziemski biegnie ten front, bieżnie dziś linia podziału na obóz wstecznicstwa,

które boi się pokoju, gdyż boi się socjalizmu — i obóz wolności, który wskazuje ludom, że polityka symbolizowana przez takie nazwiska, jak Truman i Blum, Spellman i Bevin, Mindszenty i Spaak oznacza groźbę dla niepodległości i samoistności kulturalnej wolnych narodów na obu półkulach.

Nie ma neutralnych w tej walce. Kto obawia się tu neutralności, kto wprawia innym, a choćby tylko sobie, że „wzniósł się” ponad polityczne namętneści że jego dziedzina — literatura, sztuka, nauka — jest apolityczna i walka jaka toczy się w świecie, jego nie dotyczy, ten — często bezwiednie, ale jakże często świadomie — staje w obozie niszcycielskiej kultury. Nie ocali róż, kto z błogim spokojem lub w bezsilnym smutku będzie się przyglądał robocie tych, co chcą podpalić lasy.

Obrona kultury przez udział w polityce obrony pokoju i wolności — wytyczna, którą Kongres Wrocławski proklamował w imieniu świata nauki i sztuki, wskazuje intelektualistom wspólną drogę z ruchem antyimperialistycznym, zarówno w tych krajach, które wyzwolone już z jarzma imperializmu i skupione wokół ZSRR, stanowią razem z nim potężną siłę pokoju, jak w tych, w których obóz wolności i postępu toczy jeszcze ciężką walkę z dolarową zaborczością — także w jej własnym siedlisku.

Klęska imperializmu w tej walce, udaremnienie jego zbrodniczych planów, będzie zwy-

## ŁUDZIE „RUCHU WROCŁAWSKIEGO”



Donini i Sereni (Włochy)

cięstwem ludzkości. Rękami tego zwycięstwa jest siła w służbie dobrej sprawy — siła obozu antyimperialistycznego, w którego szeregach walczą międzynarodowy „ruch wrocławski”

ALEKSANDER JACKIEWICZ

## OPOWIEŚĆ O SAMOTNYM ŁOTRZE

Z NAMIENNA dla naszej współczesnej literatury jest droga pisarska Kazimierza Brandysa. Zaczął od „Drewnianego konia”, gdzie nazaczyły sobie spotkanie wszystkie literackie grymasy dwudziestolecia. A więc: gombrowiczowska karykatura bez jej pogłębienia społecznego, katastrofizm mieszczański, bierna postawa wobec życia — i wiele innych. „Drewniany koń” miał być satyrą, ale satyra nie wyszła bo autor tak się zapatrzył w krzywe zwierciadło, że wreszcie sam siebie w nim zobaczył.

Później było „Miasto niepokonane”. W tej książce zjawiał się nowy nurt odkrywczego opisu społecznej rzeczywistości Warszawy podczas okupacji. Grymasy odpadły, powstał prawdziwy w swym tragizmie obraz „jedynego miasta na świecie”. Niecodziennosc dał tej książce sam temat, lecz w bocznym nurcie utworu wciąż jeszcze szły, jak cienie, elementy „Drewnianego konia” — objawiające się w niemożliwości umiejscowienia bohatera utworu w konkretnej rzeczywistości historycznej. Miasto toczyło swój nieprawdopodobny żywot między wysokim patosem a groteską, podczas kiedy bohater kuzyn literacki „Drewnianego konia”, błąkał się po rzeczywistości okupacyjnej z całym bagażem nieprzystosowania życiowego, bierności, nieporuszony od czasów przedwojennych w swym własnym świecie, rozłożony na cząsteczki wiedzy o człowieku.

Lecz nurt pierwszy już widocznie zwyciężał w pisarstwie Brandysa, bo oto w ciągu ostatnich dwóch lat zaczął powstawać pod jego piórem cykl powieściowy „Między wojnami”. W ubiegłym roku ukazał się „Samson”, historia Jakuba Golda, obrazująca na konkretnym przykładzie przedwojenny i wojenny żydowski los. Czas pogardy jest bohaterem tej książki, czas, który od narodzin do przedwczesnej śmierci, co dzień, z podziwu godną monotonią, zabijał człowieka. W książce tej autor całkowicie wyzwolił się od grymasów i przedwojennych mód literackich. Dał twór realistyczny i jednoznaczny w swej prawdzie społecznej i psychologicznej. W świecie doświadczenia dokonał ostatecznego wyboru, dał obraz jedyn w swoim przejmującym wyrazie. Nie człowiek oderwany od warunków okazał się na pierwszym planie, lecz przede wszystkim los człowieka i wszystkie jego przyczyny, świat zła i niesprawiedliwości. I dlatego samotność Jakuba Golda w jego codziennym umieraniu jest tylko samotnością pozorną. Gold umierał, jeśli nie z innymi — to obok innych, w rzeczywistej zaś i ostatecznej śmierci znalazł się w szeregach towarzyszy, już świadomie i z odkrytą twarzą ginących za lepszy porządek życia.

Po „Samsonie” przyszła „Antygona.” Tu ukazał się czytelnikowi człowiek uformowany przez czas, w jakim żył. O ile Jakub Gold był pasywną ofiarą warunków społecznych, to Ksawery Szarlej z „Antygony” jest ofiarą aktywną. Sam powiększa istniejące zło i wreszcie ginie pod jego gruzami. Szarlej jest bardziej samotny niż Gold, bo wyłączył się z rytmu społecznego życia jako paradoksalny wyjątek. I jeśli Brandys w swy autorskim „Intermezzo”, w którym stara się wyjaśnić filozoficzny i społeczny sens swej książki, pisze: „Umarł człowiek”, tymi słowami pieczętując życie i śmierć Ksawerego Szarleja, to śmierci Jakuba Golda takim

\*) Kazimierz Brandys, Antygona „Czytelnik” 1948.

słowem pieczętować nie będziemy, bo w jego samotności i śmierci człowiek nie umarł. „Antygona” jest sądem nad zdeklarowanym łotrem. Lecz sądem trudnym.

Ksawery Szarlej startował w młodości z nizin społecznych, lecz startował samotnie, niby w poprzek układów klasowych. W momencie startu odzgnął się zarówno od bierności swej warstwy, jak od jej elementów rewolucyjnych. Brandys pisze o wówczas młodym jeszcze Szarleju: „Nie przeczuwając tego dokonywał wówczas wyboru. Były to dni, gdy przeżywała nadzieja ocalenia człowieka przez walkę. Lata jeszcze nie zwycięskie, lecz pełne gniewu. Ten czas dawał pierwszą wolność: nie od wyzysku i nędzy, lecz od upodlenia. Ksawery jednak ufał porządkowi świata i jego nieublaganym prawom. Nie zechciałby, nie potrafiłby uwierzyć, że walka może być czymś innym niż zaburzeniem ładu”.

„Ład” reprezentowali wówczas posiadacze dóbr materialnych. Na pierwszym etapie Ksawery Szarlej, sprzymierzony z nimi przeciw strajkującej załodze fabrycznej. Na rozkaz przemysłowca podpalił ubezpieczoną fabrykę. Odebrał w ten sposób chleb z rąk robotników. Uplyniony kapitał wrócił nienaruszony do kieszeni posiadacza.

„Własność i pieniądź stanowiły jedyny sprawdzian człowieczeństwa, produkcja i wymiana jedyną afirmację bytu. Tę wiarę swojego czasu przyjął, nie odrzucił i poniósł jej wszystkie następstwa” — pisze Brandys. A dalej: „Posłużył się hipotezą wolności; rozmówiony w naśladowictwie „wyższej stopy życiowej”, również moralność wybrał sobie ponad własny stan. Przeniknął dopiero, gdy było już za późno. Gdy nieodwołalnie skazał się na swój akrobatyczny los, który uwolnił wszystkich od niesienia mu pomocy”.

Ksawery, doskonały akrobata od łotrów, spekulacji i wielkich afer handlowych, śmiały gracz, który „robił to, co inni”, wszyscy bowiem kradli — zawisł w próżni. Nie zdołał osiągnąć wysokich stanowisk, na których kradzież nie nazywała się kradzieżą. Jednocześnie nie umiał już i nie chciał wrócić do punktu wyjścia, do swej klasy. Wznośli się i upadał, zawsze sam, zawsze wbrew wszelkiemu społeczeństwu i historycznemu porządkowi.

Gdy inni z katastroficznym niepokojem oczekiwali września r. 1939, Ksawery, ścigany wówczas przez policję, czekał na wojnę jak na zbawienie. W momencie wybuchu wojny, gdy pierwsze bomby padły na Warszawę, patrzył na pałacą się kamienie, szeptał „Wena mi sprzyja...”. Podczas okupacji, gdy ginął naród, Ksawery zrobił mały krok, powrócił do swej dawnej stopy życiowej, tylko biedak niebardzo miał na czym oprzeć tę stopę. Dzielnym akrobata zawisł tym razem nie tylko w puście społecznej, lecz i narodowej. Niemcy nie przyjęli go, ze strony Polaków obawiał się odwetu za swe machinacje.

Obok Ksawerego Szarleja przewija się przez książkę druga, niemniej znamienita postać: jest nią Nisia Orszyna, dziewczeczka na Kaleniu, reprezentanka możnego rodu, świata antenatów, ryngrafów i ulańskich czak. Ona była pierwszą miłością młodocianego wówczas Ksawerego, jako partnerka w tragedii „Antygona”, którą w dzieciństwie grał na tarasie kalenkiego pałacu. Orszyna to również nienajgorszy gracz, tylko że ona

miała dla swych łotrów oparcie w rodzimym, w symbolicznej patriotycznej i religijnej, Bóg i Ojczyzna — to była asekuracja lepsza niż kasa pancerna i fałszowane obligacje.

Skonfrontujmy teraz oboje: jedna z fragmentarycznych postaci utworu, tak w pewnym momencie mówi do Szarleja: „Ona nie jest samotna ze swym bydem, honorem, ziemią i przeszłością. A pan? Ha! grał pan niegdyś Antygone... niecodzienny był ten pański debiut w pałacowym parku... ale i Antygona nie była samotna, kiedy broniła niepisanych praw ludzkości w oparciu o swój ród”!

Ostatecznej konfrontacji i osądu Ksawerego i Orszyny dokonuje autor z końcem utworu, gdy Orszyna wykrada zakopane w parku pieniądze swego dawnego przyjaciela i kochanka, zarobione na okupacyjnych łotrówstwach. Wyrok Brandysa jest jednoznaczny. Orszyna, dokonując kradzieży, akceptuje tym samym wszystkie grzechy Ksawerego, powiększając je już dla siebie o swój czyn. Westalka narodowych tradycji, ta której syn miał wjechać do Warszawy na białym koniu przez Trzeci Most staje się główną oskarżoną w procesie, który na kartach „Antygony” wytacza Brandys porządkowi „starych czasów”. Ksawery morduje Orszynę, odbiera jej skradziony skarb, by niedługo po tym umrzeć z nią na pierś. Tu zamyka się elipsa losu dwojga ludzi, zaczyna przed wielu laty w starym parku kalenkim między parą zakochanych dzieci.

Przez karty książki przewija się gorzki uśmiech pisarza. Gorycz jest niezaprzeczona, lecz za tą goryczą kryje się wszystko, co pisarza zaciekawia i wzrusza.

„Długi czas nie wiedziałem, dlaczego życie Ksawerego wydało mi się jego godne opisanie. Zapewne pociągnęła mnie jego burzliwość...” — pisze autor w „Intermezzo”.

Pasja gry właściwa Szarlejowi interesuje i pociąga pisarza, bo pasja to nie bylejaką skierowaną na właściwe tory, wydałaby może człowieka nieprzeciętnej miary. I tu zaczyna się uśmiech: „Nie ma ludzi bezwzględnie złych, są tylko bezwzględnie złe układy rzeczywistości” — czytamy i oto, dziwnie skłóceniu sami z sobą, spostrzegamy w czasie lektury, że sympatyzujemy, mimo wszystko, Szarlejem; wzruszają nas jego kleski, on sam wzrusza nas w nieśmiałej miłości, jaką bez wzajemności darzy swego syna, cieszony się momentem wychnienia, jakie świat dał na krótko swemu ziemu synowi i tu zajątku Wilczki, i gdy ten syn staje się nagłym, porządnym, pracowitym człowiekiem.

„Serce, które bije nam w piersi, jest zwykłym ludzkim sercem” — streszcza autor słowami bohatera. Serce to czujemy, i ono właśnie zbliża do nas łotra i każe poprzez niego patrzeć na świat, który jest pełen winy. Dostrzegamy głównego wánowiącę. Utwór staje się jednoznaczny.

Ta jednoznaczność wyróżnia dziś książkę Brandysa spośród tych, w których strasza widma „obiektywizmu” pięknoduchów. A widm tych jest jeszcze dużo. One też nie zawsze, nawet w „Antygonie”, pozwalają Brandysowi zająć określone stanowisko. Mówię o szczegółach, nie o całości.

Książka Brandysa stwarza na nowo świat, który znaleźmy i który jeszcze tu i ówdzie vegetuje — stwarza go, by go powtórnie zabić.

Aleksander Jackiewicz



Zofia Nalkowska



Ila Erenburg



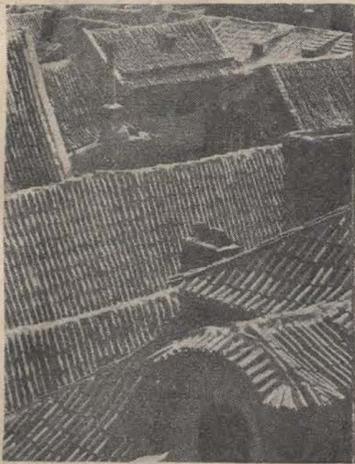
Julien Benda



Tadeusz Kotarbiński

RYSZARD MATUSZEWSKI

## C Z E S K A J E S I E Ń



Praskie dachy

## PRAGA

URODZIE Pragi pisano zbyt wiele, abym miał odwagę opisy te uzupełniać. Wątpić należy zresztą, czy opis jest w stanie oddać jej piękno. Osobiście lubię najbardziej strome uliczki Malej Strany, dzielnicy, która u nas mogłaby nazywać się Podzamczem, opadające w dół ku rzece ze szczytu zamkowego wzgórza. Każde zejście z Hradczynu, zawsze inną drogą, z widokiem na załamania dachów, wąskie fasady siedemnastowiecznych kamieniczek i pałaców, ogrody w zamkowej fosie, Wełtawę i perspektywę Staro-Go Miasta w kotłynie między pagórkami — cieszy na nowo, każde jest odkryciem jakiegoś nowego szczegółu architektonicznego, jakiegoś dotąd niezauważonego motywu w krajobrazie. Obiektywnie każda z tych uliczek jest bez porównania piękniejsza niż przedwojenny warszawski Mariensztadt, Brzozowa i Kamienne Schodki. Osobiście i nieobiektywnie są one dla mnie prawie tak samo ładne, jak tamte, nieistniejące ulice.

Wiem już dlaczego Czesi mówią o Pradze — „złota”. Pragę należy oglądać jesienią. Odpowie mi ktoś na to, iż nie tylko w Pradze jest złota jesień i niewątpliwie obiektywnie będzie miał rację. Jeśli chodzi o samo centrum, Praga jest w dodatku pozbawiona drzew, jak większość gęsto zabudowanych, starych miast. Ale wystarczy wyjść nad Wełtawę (bez której Praga się nie liczy jak Paryż bez Sekwany, Budapeszt bez Dunaju, nawet Warszawa bez Wisły, choć ją bezplanowo zabudowa XIX wieku barbarzyńsko od Wisły odepchnęła), aby zrozumieć dlaczego Praga najpiękniej wygląda w przybraniu jesiennego złota.

Przez dwa tygodnie oglądaliśmy Wełtawę co dzień. Mieszkaliśmy w hotelu „Sokolsky Domov”, w wąskiej uliczce Vszehrdovej, na Malej Stranie, tuż koło maleńkiego teatru młodych satyryków, o którym pisał wiosną Wojciech Natanson w „Nowinach Literackich”. Ow zbieg przymiotników — „mały”, „maleńki” i „wąski” w poprzednim zdaniu — pozostawiam świadomie. W Pradze, jakkolwiek jest ona dużym miastem, wszystko (zwłaszcza to co ładne) wydaje się jakieś drobne. Jest to jeden z charakterystycznych rysów jej urody.

Wychodząc z ciasnego gardła naszej uliczki patrzyliśmy co dzień na zawieszony nad nami czerwono-żółte zbocze góry Petřín. Zbocze to, łało na nas rozcięzione filtrami październikowych mgiełek kolory jesieni również po południu i wieczorem. Kiedy przeciskaliśmy się przez zbity tłum ludzki ruchliwym wawozem ulicy Narodni Tržida w stronę Wełtawy i naszej cichej, spokojnej dzielnicy. Póki nie wyszło się na wybrzeże koło Teatru i mostu Legii, Petřín piętrzący się nad szczeliną ulicy, był najpiękniejszą, stanowił jak gdyby niespełnioną zapowiedź. Później malał, pozostawał na boku wobec przepychu szerokiej perspektywy Hradczynu, rzeki toczącej się zakolem i rozwidlonej wysepkami, średniowiecznego mostu Karola, szarych kamieni, złotych i różowych odbłasków wody i nieba, zielonej patyny kopuł, strzelistości wież. Można było na to patrzeć co dzień i nigdy nie miało się dosyć. Oczy mieszkańców miast zburzonych, jak moje miasto i haniebnie brzydkich jak miasmo pomnik kapitalistycznego wyzysku, w którym obec-

nie, mieszkam, nie łatwo dają się nasycić pięknem.

Na samym Hradczynie, najmilszym zakątkiem jest oczywiście Złota (znów „złota”) uliczka, na której niegdyś mieszkali alchemicy. Biedni ludzie, którzy dzisiaj mieszkają tu zamiast alchemików w izdebkach nie większych niż kurniki lub pokoje w niektórych obecnie budowanych warszawskich mieszkaniach, utrzymują się m. in. z tego, że za drobną opłatą pozwalają oglądać turystom widok jaki z ich domków na kurzej stopce rozciąga się na zamkową fosę. Z otchłani jesiennych barw wynurza się tu zielony heim „Jetohradku” królowej Anny, za którym leżą tereny pięknych spacerów — Střimovka, Dejvice, Bubny — dzielnice nowoczesnych bloków i willi, rozrzucone fantazyjnie na rozległych wzgórzach, pełne niespodzianek krajobrazowych i architektonicznych.

Praskie Stare Miasto na prawym brzegu Wełtawy nie ma już tego romantyzmu co Hradczyn i Mala Strana, choć ma równie piękne stare domy, kościoły i pałace, wąskie uliczki i ustronne placiki. Na jednym z nich, Mariánském Namesti, w gmachu biblioteki uniwersyteckiej mieszczą się na II piętrze zbiory nowoczesnego malarstwa czeskiego i obcego z piękną kolekcją impresjonistów, zasobną i starannie dobraną. Największe jej cuda to „Bonjour monsieur Gauguin” i niezrównany autoportret Henri Rousseau — celnika, reprodukowany niedawno w „Przekroju”.

Żałuję niezmiernie, że nie zdążyłem zobaczyć prywatnej kolekcji wczesnych obrazów Picassa, do której obejrzenia zaprosił mnie wraz z bawiącą w Pradze komisją dla spraw polsko-czeskiej wymiany kulturalnej jej właściciel, dyr. Narodowej Galerii w Pradze dr Kramarz. Zwiedziłem za to inną, niegdyś prywatną, dziś ofiarowaną przez właściciela społeczeństwu galerię — zbiory poety Jerzego Karaska ze Lwovic w „Tyrsovym Domu” na Malej Stranie. Zbiór ten, zdumiewająco bogaty jak na kolekcję prywatną, jest interesującym dokumentem dawnych tradycji czeskiego słowno-filistwa, i w jego ramach, żywej polsko-czeskiej wymiany kulturalnej z okresu krakowskiej moderny. Były właściciel, a obecny kustosz tych zbiorów, czcigodny starzec dr Jerzy Karasek, przyjaciel wielu polskich malarzy, sam oprowadza po swojej galerii i z dumą pokazuje obrazy i szkice Jacka Malczewskiego, Wyspiańskiego, Wyczółkowskiego, Sichulskiego, Jarockiego, Weissa, Vl. Hoffmana, Mehoffera, Stanisławskiego. Obok zbiorów czeskich i polskich ma także rosyjskie, jugosłowiańskie i bułgarskie, bogate archiwum i bibliotekę.

Handlowe centrum Pragi nie opuściło, podobnie jak w Krakowie, wąskich, omszanych uliczek staromiejskich. Ale w Krakowie średniowiecze zwyciężyło, nie

dało zapanować nad sobą współczesności ani w tempie życia, ani w architekturze. Stare domy wytrzymały zwycięsko słaby zresztą i wąty napór teraźniejszości. W Pradze stało się po części inaczej. Nie ruszono istotnych zabytków, ale kręte uliczki starego miasta zmieniły się w ruchliwe, kupieckie pasáže. Murzy kamienic obudowano z przodu i z tyłu, od frontu i podwórek, czasami na wysokość kilku pięter, nowoczesną armaturą kapitalistycznego city: pokryto sześcianami reklamowych gablot, lustrzanymi taflami wystawowych szyb, lśniącą emalią szyldów i rozświetlono neonami. Taka kupiecka armatura czyny od razu wygląd miasta bogatym i zasobnym. Wystawy robią wrażenie wspaniałe, neą oko. Toteż mimo istniejących w Pradze jesienią 1948 roku trudności aprowizacyjnych i daleko idącej racjonalizacji spożycia — Narodni Tržida, Vaclavskie Namesti i ulica Na Pržikope ośniewają wielkomięjską elegancją.

## SPOTKANIA

Ale obiecałem nie pisać o Pradze. O samym mieście pisano już wiele, o ludziach wiem zbyt mało; chyba to, że ci, z którymi się spotkałem żenowali mnie wprost serdecznością i gościnnością. Nie chodziłem tu zresztą nieprzetartymi szlakami. O ujmującej gościnności przedstawicieli czeskiego Ministerstwa Informacji: dr. L. Czivrnego, inż. A. Malka i kierownika referatu polskiego p. F. Szeborę mogą zaświadczyć wszyscy polscy pisarze i artyści, którzy się z nimi stykali. Spośród pisarzy kilku jak Waclawa Rzezacza, Jana Drdy i Jirzine Tumową znalazłem już z Polski, inni od razu w pierwszym zetknięciu wspominali mi o tych spośród moich kolegów, którzy odwiedzili Pragę przede mną. W nastrojowej winiarni Goldhamra dano mi do podpisu księgę, w której parę dni przede mną wpisał się Dygat Jan Pilarz, tłumacz poezji polskiej, wielbiciel Gałczyńskiego, niedawno goszczący na Zjeździe Literatów w Szczecinie, u którego spędziłem jeden z najpiękniejszych praskich wieczorów — opowiadał o wizycie Andrzeja Kozłowskiego. Helena Teigova, tłumaczka wiekszości czołowych, współczesnych utworów polskich na język czeski, orientowała się w bieżącej naucej produkcji powieściowej lepiej ode mnie, nie mówiąc już o red. Magrze, specjalście od spraw polskich, w jednej z największych czeskich firm wydawniczych, który, gdy wyraziłem zdumienie dla jego najświeższych informacji na temat naszej literatury, uśmiechnął się tylko tajemniczo i pobłaźliwie.

Oddzielne wspomnienie, na które nie wystarczyłyby kaliber słów tego felietonu, winien jestem rektorowi Mukarowskiemu, jednemu z najwybitniejszych uczonych lingwistów szkoły praskiej, teoretyków literatury i krytyków, u którego danym nam było spędzić również je-



Na Malej Stranie

den z wieczorów i w którego towarzystwie oglądaliśmy współczesną sztukę słowackiego autora F. Laholi w słynnym teatrze Buriana; oddzielne wspomnienie należy się też prof. dr. Karolowi Krejczemu, kierownikowi katedry polonistyki na uniwersytecie Karola w Pradze, któremu zawdzięczam m. in. zapoznanie się ze środowiskiem praskiej młodzieży uniwersyteckiej.

Do pisania — nawet felietonowo — o teatrach również nie czuję się kompetentny choć przedstawiłem widziałem wiele i pięknych. Wyręczył mnie już zresztą częściowo Wojciech Natanson, pisząc we wspomnianym już przeze mnie artykule o paru najciekawszych, jak „Cyrk Nadziei” w teatrze satyryków i „Świeta Joanna” Shawa w teatrze miejskim. Dość pragnę, że jednym ze spektaklów, które dały mi najwięcej przyjemności była nie tracąca swego uroku „Sprzedana narzeczona” w świetnym wykonaniu „Narodnego Divadla”.

## DOBRZÍZ

Pozostawiając teren praski bardziej kompetentnym ode mnie, których jest wielu, przenoszę się na pewniejszy grunt wrażeń z wycieczek po Czechach.

Pierwszą miejscowością jaką zobaczyłem jesienią 1948 r. poza murami Pragi, ciągnąc również szlakiem przetartym przez moich polskich kolegów, była Dobrzyż — czeski dom wypoczynkowy dla pisarzy, czeski Nieborów i Obory jednocześnie. Zestawiam Dobrzyż z Nieborowem, jest to bowiem podobna mu exmagnacka rezydencja, tylko większa, i służy, niezależnie od tego, że jest miejscem pracy i wypoczynku literatów, podobnym co i Nieborów celom: konferencjom, reprezentacyjnym zjazdom itp.

Połączenie tych kilku funkcji, których u nas nie może spełniać jednocześnie żaden z naszych analogicznych obiektów zawdzięcza Dobrzyż zarówno rozmiarom pałacu, w którym zmieścić by się mógł pułk wojska, jak i niezwykle pięknemu, a jednocześnie dogodnemu położeniu w odległości zaledwie 40 km od Pragi, we wspaniałym parku, nad malowniczymi jeziorami.

Sprawę administracji Dobrzyży rozwiązano również w sposób godny uwagi: nie obciążono nią Związku Pisarzy, co jest najsukuczniejszą metodą, służącą do tego, by literatów zamienić w hotelarzy i buchalterów, a co niekiedy bywa dotąd gdzieś stosowane, lecz pozostawiono ją ministerstwu informacji, pełniącemu w Czechosłowacji te same funkcje, co u nas ministerstwo kultury i sztuki.

## PAMIĄTKI FEODALIZMU

Tą samą drogą co na Dobrzyż wyruszamy na drugą, tym razem okreśną turę wokół Pragi, oglądając sławne, średniowieczne zamki Karluv Tyn (Karlsztejn) i Krzivoklad, grób Masaryka w Lanach, i później odskakując na północ do środka czeskich winnic — Mielnika.

Karluv Tyn i Krzivoklad mają się do siebie tak jak styl czasów Karola IV (u nas — Kazimierza Wielkiego) do stylu Zygmunta Luksemburczyka (u nas — Jagielly). Karluv Tyn jest tedy w założeniu starszy, za to Krzivoklad mniej kompletnie odremontowany, robi wrażenie bardziej omszałe. Oba cechuje ta sama bajeczna romantyczna sceneria, oba strze-



Karlov Tyn — zamek



Tabor, kolebka husytyzmu

lają basztami w niebo z wierzchołków niezdojanych (w średniowieczu...) skalisk, okolone lasami, rozciągającymi przed nami swą jesienną krasę. Oba mają głębokie lochy i studnie, których przewiercenie kosztowało niejedno życie ludzkie. Dziś służą one igraszce turystów, dziwiących się, że od chwili chluśnięcia wodą ze studziennego wiadra — do momentu, w którym uszu ich dobiegnie plusk z odległej głębi — mija kilkanaście sekund.

Zachowanych (w przeciwieństwie do naszych) w całości, historycznych zamków, pałaców i temu podobnych pamiątek feudalizmu jest w Czechach ilość przegromna. Ale zwiedzając w następnej wycieczce, w kierunku południowym od Pragi, dwie inne tego typu rezydencje — Konopiszte i Hluboką koło Budziejowic, stwierdzić mogłem, że nie wszystkie są równej wartości artystycznej. Feodalizm czeski, jak każdy feudalizm, kulturotwórczy w średniowieczu — skarłał i zdegenerował się w epoce późniejszej, pozostawiając po sobie bogate i pretensjonalne pomniki w epoce, w której nosiciele jego tradycji sprzymierzyli się z kapitalistyczną burżuazją. Nie był to już zresztą wcale feudalizm rodzimy (czeska szlachta wyginęła przecież pod Białą Górą), lecz sprzymierzony z burżuazją plutokratyczny feudalizm niemiecki, a właściwie międzynarodowy. Wystawny zamek Szwarzenbergów w Hlubokiej, z zewnątrz pseudogotyck w stylu angielskim (wzorowany na pałacu w Windsorze), a wewnątrz przypominający łożyska pałace Poznańskich, tylko bogatszy, tonący w boazeriach i podrabianych antykach, musiał

założyciela Republiki. Nie ma wieńców, nie ma honorowej warty. Są zawsze świeże kwiaty. Wymowa tego cichego grobu jest ogromna.

Miniony rok obarczył ziemię czeską drugim grobem, doznającym publicznej czci. Podobnie jak pierwszy leży w miejscu odległym i ustronnym. Jest nim grób Edwarda Benesa w Sezimowo Usti, gdzie zmarły prezydent miał swój domek i kawałek ziemi. Zajeżdżamy tam, zwiedzając pobliskie miasto Tabor, kolebkę husytyzmu. Nie osiada tutaj jeszcze nad trumną świeżo rzucona ziemia i w korowodzie odwiedzających grób w piękne niedzielne popołudnie, widzi się ludzi szczerze przejętych, z chusteczkami przy oczach.

#### TABOR I MIELNIK

Tabor jest jednym z najciekawszych miasteczek czeskich. Założyli je w XV wieku wyznawcy wielkiego reformatora i nauczyciela czeskiego narodu Jana Husa, tworząc w nim gminę komunistyczną na wzór pierwszych chrześcijan. Stąd pochodzi biblijna nazwa miasta i liczne inne nazwy tego typu np. jeziora Jordan, opływającego miasto z jednej strony, podczas gdy z trzech pozostałych opasuje je malowniczo rzeka Lužnica.

Całe miasto, położone wysoko i obronnie, otoczone jest jeszcze resztkami średniowiecznych murów i pełne zabytkowych budowli. Największą jednak jego osobliwość stanowią połączone siecią korytarzy piwnice domów staromiejskich, tworzące jeden wielki podziemny labirynt pod całym miastem. Niegdyś służył

bo „Europa”, ta turystycznie licząca się Europa zaczynała się dopiero za Wiedniem.

Były oczywiście wyjątki: Karlove Vary, Mariánské Lázně, Písečany, Třebíč. Do Czechosłowacji jeździła burżuazja — na kurację „do wód”. Kraj i ludzi oglądała jednak tylko przez szybę wagonu. A poza tym Mariánské Lázně i Karlove Vary — to był Marienbad i Karlsbad. Nawet za czasów Pierwszej Republiki, kiedy jako uczestnik którejś z wycieczek młodzieży odwiedziłem jedno z tych miejsc, uderzyło mnie, że częściej słyszałem na jego ulicach język niemiecki niż czeski. Dzisiaj nie pozostało po tym nawet śladu.

Oglądaliśmy Karlove Vary w martwym, posezonowym czasie. Cisza i ruda czerwień wzgórz rzucała wydłużony błękitny cień październikowego popołudnia w strone wawozy. Jesień zaślała aleje grubą warstwą zeschniętych liści. Wielkie, puste hotele z epoki secesji, zdobne w sztukaterie, lśniące od świeżej, jasnej farby, połyskujące czystością — podobne były do ogromnych ciastek z kremem lub hiszpańskiego tortu. Nieliczni późni kuracjusze krążyli wśród kolumnad, po wyspanych żywem skwerach. Gorący gejzer Strudla tryskał rozrzucone w kamiennym łożysku wielkiego zbiornika. Linowa kolejka odjeżdżała na wzgórze, ozdobione kamienną rzeźbą górskiego kozła, restauracją i wieżą z pięknym widokiem, — z dokładnością szwajcarskiego zegarka. W alejach parku oplecione bluszczem pomniki i pamiątkowe tablice głosiły, że tu ratowali swe cenne zdrowie członkowie rodów królewskich i wielcy fabrykanci, uczeni i sławni artyści, władcy ducha i władcy pieniądza, a następnie dziękowali za to Bogu i doktorom.

W wagoniku kolejki linowej jedna z dwu siedzących na przeciw nas kobiet słysząc naszą rozmowę rzuciła pytanie:

— Państwo też z Polski?

I dziwi się. Z Polski? Teraz? Kiedy dowiaduje się, że wkrótce wracamy, dziwi się jeszcze bardziej. Ona jest tu już od trzech lat i wcale nie wraca. Tu, wśród widm minionej przeszłości, czeka na wizę do Stanów Zjednoczonych. Dziwić się musi zapewne często, gdyż wkrótce potem, w pobliskiej restauracji, mamy okazję stwierdzić, że Polacy z Polski są tu jedyni z najczystszych, zagranicznych gości. Mamy do czynienia z wypadkiem ostrego obłędu, który tutaj w najdalszym zakątku jesieni dawnego świata, usiłuje sobie znaleźć ostatni, przejściowy azyl.

#### POD ZNAKIEM CZERWONEJ GWIAZDY

Nad socjalistycznym Zlinem, dawnym królestwem Baty, — świeci wielka, czerwona gwiazda. Jest wieczór, i kontur kilkunastopiętrowego wieżowca, na którego szczycie ją umieszczono, pozostaje niewidoczny. Płonie wysoko na tle ciemnego nieba, nad doliną, w której wyrósł najbardziej „amerykański” twór przemysłowy środkowej Europy, główne centrum unarodowionych obecnie zakładów produkcji obuwia, największych tego typu w Europie, drugich co do wielkości na świecie. Patrzymy na nią z okna naszego pokoju na siódmym piętrze imponującego „Społeczeńskiego Domu”. Patrzymy jak rozbłyśka czerwienią, górując nad kaskadą światła w dole, pod nami.

Do Zlina dojeżdża się boczną linią kolejową, która ma tylko kilka bezpośrednich połączeń z Pragą i innymi większymi ośrodkami. Nie trafiwszy na jedno z nich, przesiadamy się kilkakrotnie i oglądamy typową prowincję czeską: małe domki, małe fabryczki, stare dworce pamiętające czasy Franciszka Józefa, ludność robotniczą, ludność wiejską. Pociąg, który nas wiezie, pełen jest dymu, mężczyzn o zmę-



Tabor, postać Jana Husa w herbie miasta z r. 1515

czonych twarzach, kobiet, które jeździły zapewne po zakup żywności. Życie jest szare, krajobraz jednostajny, półmiejski, półwiejski.

I nagle wszystko się zmienia. Pociąg wjeżdża w sam środek nowoczesnego miasta, wizji niemal corbusierowskiej. Na zielonych, łagodnych zboczach pagórków o wierzchołkach pokrytych lasem leżą rozrzucone kolonie małych domków mieszkalnych jak czerwone grzyby, środkiem — strzelają w niebo wielkie kolumny: cegła, beton i szkło, pion i przestrzeń.

Unarodowione zakłady „Bata” to nie tylko odrębne miasto: to odrębny krąg życia społecznego, to wysiłek oparcia tego życia na bazie socjalistycznej zorganizowanej pracy. „Narodni Podnik”<sup>\*)</sup> jest przedsiębiorstwem gospodarczo całkowicie wyodrębnionym: operuje na zasadzie własnego, odrębnego budżetu, zawiera samodzielne umowy handlowe. Z dochodów własnej produkcji organizuje na wielką skalę życie kulturalne kilkudziesięciotygodniowej rzeszy swych pracowników. Odbiera hotel, teatr, kino, własna prasa<sup>\*\*)</sup>, biblioteka, kluby i urządzenia sportowe, galeria sztuki, szkoła sztuk pięknych i przemysłu artystycznego — wszystko to podlega małemu państwu Zakładów „Bata”, które nie jest już jednak prywatną imprezą — skompromitowanego w dodatku kolaboracją — kapitalisty, ale własnością całego czeskiego narodu.

Rankiem zwiedzamy fabrykę. Właściwie jej cząstkę. Zwiedzenie całości jest fizycznie niemożliwością. Samo obejście budynków stanowi niemały spacer, toteż komunikację wewnętrzną ułatwia mała motorowa kolejka. Oglądamy fabrykację obuwia, kaloszy, pończoch, opon. W jednej z hal

<sup>\*)</sup> Podnik — przedsiębiorstwo.

<sup>\*\*)</sup> redaktorem naczelnym jednego z wychodzących na terenie zakładów „Bata” pism jest T. Svatopluk, autor książki pt. „Botostroj” gdzie charakteryzuje stosunki panujące w zakładach „Bata” przed wojną. Książka ta była przed wojną dzięki wpływom Baty skonfiskowana a autor jej miał o nią proces z wielkim kapitalistą.



Tabor — Jezioro Jordan

kosztować grube miliardy, wyciśnięte z pracy czeskiego robotnika i co gorsze, może służyć potomnym co najwyżej za wzór złego smaku.

Przepięknie położone pohabsburskie Konopiszte, również pseudo-zabytek, ma w swym wnętrzu wiele rzeczy niewątpliwie cennych, przede wszystkim z maniacką konsekwencją gromadzoną przez któregoś z dynastów olbrzymią kolekcję postaci Świętego Jerzego. Jest wśród nich wiele porabowanych lub powyludzanych przez katolickiego księcia po kościołach całej Europy wartościowych dzieł sztuki. Poza tym jeżeli jest jakiś cel dydaktyczny w pokazywaniu wycieczkom czeskiej młodzieży i robotników nagromadzonej tam obfitości trofeów myśliwskich i rodzinnych fotografii kliki koronowanych dar-mozjadów — to chyba cel odstraszający. Oglądałem je z tymi samymi uczuciami, co na zamku w Karlsztynie — narzędzia średniowiecznych tortur.

#### WIELCY ZMARLI

Klika Habsburgów i Szwarzenbergów była zawsze na ziemi czeskiej elementem obcym. Ich tradycje i splendory nie budziły niczyjego prawdziwego przywiązania w tym najdemokratyczniejszym ze społeczeństw zachodniej słowiańszczyzny, chociaż szanuje się i nie niszczy tego, co po nich pozostało. Inaczej wyglądają pamiątki po tych, do których należy serce czeskiego narodu. Grób Tomasza Masaryka w wiosce Lány na zachód od Pragi jest jedną z najbardziej wzruszających rzeczy, jakie można zobaczyć w tym kraju.

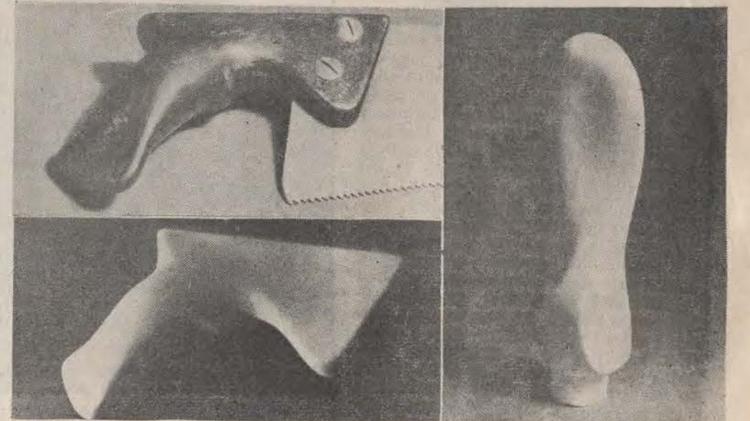
Zgodnie z życzeniem Wielkiego Zmarłego na grobie tym nie postawiono pomnika. Skromne drewniane ogrodzenie oddziela miejsce, w którym na skraju małego, wiejskiego cmentarzyka leżą zwłoki

na celom obronnym, obecnie służyły rozrywce zwiedzających. W Taborze jesteśmy przyjmowani nie tylko gościnnie, ale i... oficjalnie. Nad gmachem Miejskiej Rady Narodowej powiewa polska flaga, a znakomicie wyreżyserowany spacer przez husyckie podziemia kończy się po pickwickowsku przy suto zastawionym stole.

Jeśli już mowa o ucieszach stołu, wspomnieć należy także o Mielniku. Leży on akurat w przeciwnej stronie, bo na północ od Pragi, na samotnie wypiętronym wśród płaskiego w tym miejscu krajobrazu i przyjaźnie ku słońcu obróconym wzgórze. U stóp jego, jak na plastycznej mapie, „widać wśród zielonych łąk miejsce spływu dwu rzek: Weitawy i Łaby. Nasłonecznione zbocze mielnickiego wzgórze stynie ze swych winnic, widocznych z daleka i bodające jedynych w kotlinie czeskiej (nie licząc Moraw i Słowacji). Nie o każdej porze można na miejscu przekonać się o ich walorach, gdyż reglamentacja spożycia jest, jak wspominałem, w Czechosłowacji surowa. Czeska gościnność otwiera jednak wiele zamków i nie będę usiłował ukryć, że należeliśmy dzięki niej do uprzywilejowanych.

#### W KARLOVYCH VARACH

Czechosłowacja jest jednym z najbardziej malowniczych i pojętych turystycznie krajów w Europie. Ale u nas mniej się o tym wie, a przynajmniej mówi, może właśnie dlatego, że Czechosłowacja leży blisko nas. Przed wojną — zwrócił mi ktoś w Pradze trafnie uwagę — nie jeździło się prawie nigdy z Polski do Czechosłowacji, chociaż często, najczęściej, jadąc za granicę jechało się przez nią. I to nawet nie zawsze przez Pragę, Częściej tranzytem do Wiednia i dalej,



Surrealizm czy..

nasz przewodnik wskazując piękny sportowy model bucika wyjaśnia:

— To na eksport do Polski.

Większa część produkcji zakładów „Bata” idzie na eksport.

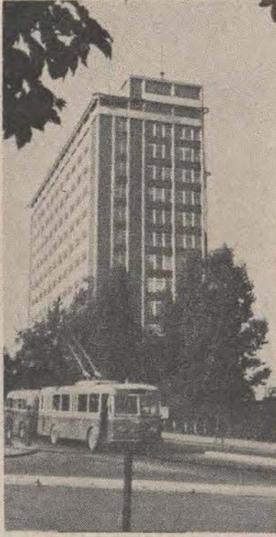
— Musimy jeździć do was, żeby sobie kupić nasze buciki, — żala się żartem niektórzy Czeši, którzy obuwie, podobnie jak i inne artykuły otrzymują tylko w ściśle określonych ilościach na tzw. „listki”. Mimo to zrozumienie sytuacji i karność społeczna są ogromne. Tempo produkcji rośnie. Nikt z uświadomionych przedstawicieli świata pracy nie wątpi, że przejściowe trudności zostaną pokonane i sytuacja ekonomiczna kraju, zasobnego w największe bogactwa — nie zniszczone warsztaty przemysłowe i chętne do pracy ręce, ulegnie szybkiej poprawie.

Po południu oglądamy atelier filmów kukielkowych, galerię sztuki i szkołę przemysłu artystycznego. Najciekawsza jest może ta ostatnia, gdyż mówi nam m. in. o ciekawych próbach powiązania zagadnień artystycznych z zagadnieniami produkcji i z bieżącymi potrzebami Zakładów.

— Szkoleni przez nas artyści są wyłącznie pracownikami Zakładów, którzy wykazali odpowiednie zdolności i chęć kształcenia się w dziedzinie artystycznej — tłumaczy nam dyrektor szkoły dr Kadlec. — Po ukończeniu jej mogą otrzymać zawsze zatrudnienie w tutejszych biurach planowania artystycznego: niektóre działy szkolenia są specjalnie dostosowane do naszych potrzeb produkcyjnych. Mamy np. dział studiujący i opracowujący pod względem artystycznym modele obuwia, kształcimy specjalistów, pracujących nad najracjonalniejszym rozwiązaniem takich spraw, jak kształt narzędzi pracy. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy jak dalece pewne, zdawałoby się czysto teoretyczne zagadnienia



hala produkcji



Zlín — gmach administracji Zakładów



przy pracy

sztuki są bliskie praktyce. Co to jest? — pyta nagle, pokazując niewielki odlew z gipsu.

— Rzeźba abstrakcyjna — odpowiadam krzywiąc się. — Czysty surrealizm.

— Nic podobnego — śmieje się — to trzonek śrubokrętu. Stwierdziłbym po dłuższej obserwacji i odpowiednich obliczeniach, że taki kształt jest najodpo-

wiedniejszy. Oszczędza siłę robotnika, który narzędziem stale się posługuje, odpowiada najlepiej kształtowi jego ręki, pozwala uniknąć odcisków, zgrubień i deformacji...

Część Zakładów „Bata” została w listopadzie r. 1944 zbombardowana. Odbudowa spalonych budynków fabrycznych postępuje w szybkim tempie. Wkrótce zostaną

usunięte ostatnie ślady zniszczeń. Zlín pracuje.

A tak, jak pracuje Zlín, pracują i inne zakłady, pracuje przemysł wszystkich gałęzi, cały aparat „oszczędzający” socjalistycznej Czechosłowacji.

I do niej, do socjalizmu, należy przyszość tego pięknego kraju.

Ryszard Matuszewski

JAN KOTT

## KRYTERIA WYBORU

CHCIAŁBYM zacząć od pochwały książek pisanych przez pisarzy o pisarzach, od pochwały gatunku. Książki takie są najbardziej świadomą częścią literatury, jej oskarżeniem, obroną i wyznaniem wiary, ustaleniem pozycji i walką o nową. Zapewniają trwałość i ciągłość literackiej kultury (wielką literaturę, jak ktoś powiedział, tworzą nie wybitne dzieła, ale to co jest między nimi), zmuszają klasyków, aby brali udział w naszych sporach, i przez to przywracają im życie. Paweł Hertz cytuje w „Notatniku obserwatora” zdanie Jana Cassova, że istnieje tylko poezja **okolicznościowa**. Powiedziałbym chętnie, że każda prawdziwa krytyka jest **okolicznościowa**. Uświadamia gusta, formułuje pretensje, łączy z sobą, i tak być powinno, dwa języki: język literatury i język ideologii.

Dialog pisarzy poprzez wieki nie tylko aktualizuje klasyków, ale zarazem wzbogaca ich o doświadczenia współczesnych. Klasycy obrastają jak gdyby we wszystko, co o nich cennie powiedziano. Montaigne to są nie tylko „Szkice”, ale i „Myśli” Pascala pisane na ich marginesach i potem ironiczne glossy Woltera do Pascala. Tradycja literacka kostnieje, kiedy piszą o niej tylko historycy, zwłaszcza, kiedy, jak u nas, historycy mają o niej tak mało do powiedzenia. Książki współczesnych pisarzy o literaturze mają szerególnie doniosłe znaczenie w okresach przełomu, kiedy sprawa dziedzictwa kulturalnego staje się zagadnieniem praktycznym, politycznym, społecznym.

I właśnie ta sprawa — dziedzictwa kulturalnego — jest głównym tematem i ośrodkiem ideowym zbioru artykułów i essayów Pawła Herta. Powiedzmy od razu: dziedzictwa przede wszystkim kultury mieszczańskiej, dziedzictwa literackiego dorobku mieszczaństwa od Swifta i Woltera po Prousta i Gide'a. Hertz pragnie ocenić z tego wielkiego dorobku wszystko co, jak pisze, jest ludzkie i sprawdzalne. Ludzkie i sprawdzalne — są to piękne słowa, których treść zresztą Hertz niejednokrotnie precyzuje. Ale mnie te dwa słowa jeszcze nie wystarczają. Ludzkie i sprawdzalne, ale dla kogo?

Chwilami czytając „Notatnik obserwatora”, wydaje mi się, jak gdybym widział Herta w ogromnej bibliotece, która znajduje się w plocywie mieście. Autor pakuje książki do skrzyni, chce ocalić i wywieźć bibliotekę. Ale my wiemy, że sprawa dziedzictwa w okresach rewolucji nie ma nic wspólnego z muzealnictwem i ochroną zabytków. Na wszystkich tomach „Literaturne Nasledstwo”, które są najwspanialszym historyczno-literackim wy-

dawnictwem radzieckim, umieszczony jest cytat z Lenina: „Zachować dziedzictwo, to nie znaczy dać się przez nie ograniczyć”. Nowa klasa nie tylko ocala biblioteki, nie tylko nawet przesuwa książki na półkach, ale wprowadza do bibliotek nowego czytelnika.

Zagadnienie dziedzictwa nie jest sprawą ratowania przeszłości, ale walki nowej klasy o własną świadomość i realizację własnych zadań w oparciu o doświadczenie historyczne ludzkości. Wiem, że autor zgodzi się na to zdanie, ale wiem również, że spór zacznie się między nami, kiedy staniami przed półką z książkami i będziemy wybierać. I teraz trzeba powiedzieć o drugim temacie książki Herta, temacie podskórnym i ukrytym, ale nadającym wewnętrzną godność i pewien dyskretny osobisty ton całemu „Notatnikowi obserwatora”.

Tematem tym jest intelektualna biografia mieszczańskiego inteligenta, który rozumiał, że jego własna klasa zagraża dziedzictwu, które sama stworzyła. Niejedną stronę „Sedanu” można by czytać jako dokumentację, jako wybór realiów, jako ilustrację do „Notatnika obserwatora”. I teraz wróćmy raz jeszcze do zagadnienia dziedzictwa. Są dwa kryteria wyboru. Perspektywa mieszczańskiego inteligenta, który pragnie ocalić najlepsze tradycje swojej klasy, i perspektywa socjalistycznej kultury. To nie jest to samo.

Hertz pisze: „Trzeba zgodzić się z faktem, że mimo akcesu wielu pisarzy polskich, i to akcesu otwartego, do całkowicie określonych programów przebudowy społecznej, twórczość tych pisarzy pozostaje niezmiennie w promieniach działania tych samych uroków, jakim podlegali oni przed laty. Wydaje mi się, że jest to zupełnie naturalne... Pisarze pokoleń przedwojennych pozostaną na zawsze w kręgu dawnych tradycji formalnych. Jakikolwiek pretensje z tego powodu równają się niezrozumieniu problemu. Jakikolwiek próby gwałtownych zmian czy nacisku równają się likwidacji literatury”.

Hertz pisał to w roku 1946 i data ta wiele tłumaczy. To też zamiast polemiki powtórzyć wolę zdanie, które padło niedawno na jednej z dyskusji literackich. Mówiono o odległości, jaka łączy dzieli polityczną świadomość pisarza od obrazu świata, jaki ukazuje on w swoich książkach. I wtedy jeden z dyskutantów powiedział: „Moim zdaniem kuleje nie warsztat artystyczny, ale polityczna świadomość pisarza. Nie jest tak, że dobry lewicowiec jest złym lewicowym pisarzem; to dobry pisarz jest złym lewicowcem”. Ja się z tym zdaniem zgadzam.

Bardzo pięknie nazywa Hertz poezję „owocem dołu człowieka”, widzi w niej odbicie jego losu, przeznaczenia, osobowości. W zwiezłych i ostro narysowanych

portretach Chamforta i Stendhala, Prousta i Gide'a, Turgieniewa i Fromentina pokazuje trafnie i wymownie dramaty społecznej epoki, świat rzeczywisty za literacką fikcją. Ale czasem wstrzymuje się od oceny, cofa się przed nazwaniem ideologii, przyjmując zamiast odrzucić. W literaturze widzi owoc dołu człowieka, ale zacierając obraz walki.

W szkicu o Turgieniewie, który jest może najciekawszy w zbiorze, Hertz pokazuje jak gdyby dwie wielkie linie literatury: linię postępu i ideologii, oraz linię techniki i rzemiosła. Literaturoznawstwo zachodniej ostatniego pięćdziesięciolecia, która zachowała świetne rzemiosło a przestała służyć postępowi, przeciwstawia pogodzenie postępu i świetnego rzemiosła w piśmarstwie Turgieniewa. W ten sposób odrywa rzemiosło od ideologii, z warsztatu artystycznego czyni samoistną wartość.

Boję się, że jeżeli ktoś każe mi podziwiać rzemiosło Gide'a i Sartre'a, a potępi ich ideologię, nie mówi całej prawdy. Boję się, że jeżeli ktoś ceni socjalistyczny humanizm „Matki” Gorkiego a odrzuca jego rzemiosło, nie mówi także całej prawdy. Myślę, że w pierwszym wypadku podobna mu się nie rzemiosło Gide'a, ale amoralność jego analiz psychologicznych, nie rzemiosło Sartre'a, ale ponura wizja bezsensowności świata. Myślę, że w drugim wypadku razi go nie rzemiosło Gorkiego, ale historyczna wielkość dojrzewania proletariatu w walce klasowej.

Ale nie to zarzucam Hertzowi. Chciałem tylko pokazać, jak bardzo jest groźne rozdzielanie rzemiosła od ideologii. Obrona mieszczańskiego rzemiosła jest zawsze obroną mieszczańskich gustów. Tak samo jak pan Jourdain nie wiedział, że mówi prozą, tak samo każdy warsztat literacki, każde rzemiosło, bez względu na to, czy pisarz o tym wie czy nie wie, ma swoją filozofię, politykę, ideologię. Nie mniej od autora cenię: „Edukację sentymentalną”, ale marksistowska historia literatury nauczyła mnie widzieć w warsztacie literackim Flauberta, w jego artystycznym rzemiosle fałszywy i kłamliwy „Iz-objektywizm” bezstronnego dzieła sztuki. I dlatego nienawisć młodego Gide'a do mieszczańskiej moralności nie usprawiedliwia dla mnie jego rzemiosła, które zapowiada epokę rozkładu. W jego nonkonformizmie nie widzę ani krzty rzeczywistego humanizmu Balzaca, Stendhala czy literatury rosyjskiej dziewiętnastego stulecia, o której Hertz pisze pięknie i trafnie: „Tworzona przez inteligentów pochodzących z czołga ze szlachty, literatura ta była konsekwentna wobec dążeń najlepszych i najświetlejszych w narodzie. Nie będąc czytana przez lud, była przecież najbardziej ludowa. Nie była chłopka, ale mówiła o tym, co dla Rosji owego czasu, było najważniejsze — o sprawie chłopskiej. Pisana

przez inteligentów, była surowa dla inteligentów, obnażała ich słabość, demaskowała ich zdrady. Pisana w Moskwie, Rzymie czy Paryżu, lub w starych domach oddalonych gubernii, wiazała się nieustannie ze sprawą wyzwolenia człowieka”.

Rozważania przed półką z książkami powtarzają się często na kartach „Notatnika”, gdzie sąsiadują z sobą imiona pisarzy polskich, rosyjskich, francuskich i niemieckich. Wspólnie z Hertzem dzielę przekonanie, że szkoła klasyków jest szkołą czytania książek, i wspólnie marzymy o wielkiej bibliotece arcydzieł literatury, wydanej w ogromnych nakładach z przedmowami i przypisami, która będzie fundamentem kultury literackiej. Tutaj nie ma między nami sporu. Spór zaczyna się dopiero o literaturę międzywojenną. Hertz, który klasyków z całym zaufaniem powierza ludowi — dla tych, „którzy przeszli już przez czyszczenie złej literatury i przed którymi już zostało otwarte niebo literatury naprawdę wielkiej”, pragnie ocalić wielkie dzieła z okresu schyłku myśli mieszczańskiej. Jest w tym dość zabawne odwrócenie dawnych recept polityki kulturalnej. Niegdyś dla maluczkich i ludu przeznaczano pół- i ćwierćliteraturę, dzieła dojrzalego artyzmu zachowując dla uprzywilejowanych. Hertz każe czynić odwrotnie. Dla ludu chce dać literaturę najlepszą jaka istnieje: Balzaca, Daniela Defoe, Stendhala, Turgieniewa, Tołstoja. Ale dla nas, dla inteligentów, pragnie zachować „czarną literaturę” okresu imperializmu. Osobiście dziękuję! Wolę czytać Swifta niż Joyce'a, i Woltera niż... Chciałem napisać Prousta, ale lękam się, że Paweł Hertz raz jeszcze poprosi mnie o pożyczanie małego srebrnego ołówka.

Wielką i rzetelną zaletą tomu artykułów i essayów, wydanych pod skromnym i nieco ironicznym tytułem „Notatnik obserwatora”, jest styl. Hertz pisze prosto, jasno i zrozumiale. Nie ma w jego książce ani krzty, najgorszej z przywar polskiej krytyki, metniactwa. Nie ma w niej fikcyjnych problemów, spiętrzeń terminologii, scholastycznej formalistyki. Jest to proza czysta, uporządkowana, chciałoby się powiedzieć, klasyczna. Jest to proza intelektualna, przekonująca albo zachęca do sporu, ale nigdy nie ogłusza retoryką i werbalizmem. Hertz włada świetnie bogatym, rozwiniętym zdaniem, ale umie je skracać i ścinać. Ceni anegdotę, umie w paru kreskach naszkicować obraz, umie wybrać cytaty.

Mówi się o śpiewakach, że mają dobre lub złe postawione głos. Hertz należy do pisarzy, o których można powiedzieć, że mają dobrze postawione pióro. Mówiąc krótko, umie pisać. Jest to, jak wiadomo, zaleta naszych pisarzy najrzadsza.

Jan Kott

\*) Paweł Hertz, Notatnik obserwatora. Essays i artykuły. Wydawn. Wł. Baka, Łódź — 1948.

LUCJAN RUDNICKI

# U N I W E

**P**O PRZEŻYCIACH zagranicznych okolic Sulejowa poczynając od Piotrkowa nabrały świeżego czaru. Oto ulica Kaliska pusta zupełnie wczesnym ranem. Domy i cerkwie rysują się na stronie zachodniej zalane falami światła słonecznego pięknieją, zamieniają się w pałace. Z głębokich cieni strony wschodniej strzela w niebo promienna wieża kościoła bernardyńskiego. Bije z niej w staroświeckim tempie godzina szósta Kraków! Mniejszy, co prawda, ubogi, ale taki bliski. Nawet szczyry, wyglądające na ulicę przez otwory w bramach, wygrzanych dziesiątkami lat patrzą bez bojaźni, oswojone. Wychodzę kamiennym zaułkiem na Mały rynek. Skład apteczny Żarskiego ze specjalnością znaną w całym świecie: tran do smarowania wszelkiej skóry niezawodny i skuteczny. Trzydzieści groszy funt, ale wysmarowane nim lejce, chomać, nie boją się deszczu ze śniegiem, a buty stają się nieczule nawet na psie łajno, które, jak pouczają szwecy jarmarczni z Belchatowa, szczególnie niszcząco działa na podszewy. Przez rozklekotane drzwi apteki przebiega synteza zapachów anodyn i diabelskiego gówna. Księgarnia Pańskiego odurza mnie wprost rozkoszą farby drukarskiej.

Nie chcę iść szosą, niech mnie nie widzą byle jak furmani sulejowscy jadący z wapnem do wszystkich miast „pieczkowskiej guberni“. Zbaczam na Krakówkę, idę na Witów przez pola, strumienie, rzeczki do Łęczyńskiego boru. Maj, pogodnie i ciepło. Sosny, świerki, dęby, leśszczyzna, czterometrowe jałowce i żywy gąszcz wszelkich roślin pod nogami, wszystko żyje i śpiewa przy akompaniamencie ptactwa. Głęboką radość przeżywałem w dzieciństwie wiosną na każde zmartwychwstanie Zbawiciela, ale musiałbym spotkać go osobiście pod Emaus, żeby odczuć takie wzruszenie jakie we mnie wzbudza puszcza budząca się do życia.

Wychodzę z leśnych zaświatów na realny świat pół, zalany ostrym światłem. Śpiew skowronków przypomina żywą młodość „sielską anielską“ z krową na postronku i wszystkie związane z tym radości i troski. Za pół godziny będę patrzył w matczyne niebieskie oczy, wypływające łzami z żywej barwy. Idę śmiało, pewny siebie. Jeszcze między Piotrkowem a Witowem szedłem zawstydzony w upokorzeniu. Łęczyńiec podniósł mnie na duchu. Nigdy nie czułem się biedny, a teraz wracałem przecież z pomnożonym kapitałem. Buty wprawdzie niosłem w rękę, chciałem je nawet zostawić przy strudze leśnej, bo się nie nadawały do naprawy, ale nie wypadało wracać z Austrii na boso z podwinietymi gatkami.

Mimo, że szedłem przez pola a później opłotkami uprzedzono już matkę o moim przybyciu, a sąsiadki, zawsze ciekawe, czekały w oknach i przed domami, żeby zobaczyć, jak też ten „letkiewicz“ wygląda.

— Ho ho! Widzi kuma, w lakierkach a boso go znać!

— To już taka familia. A bo mu to w Łodzi mieście źle było? Ale... Tu sąsiadka szepnęła drugiej głośno do ucha.

— Tak tak, moja kuma, marny kawałek chleba sobie obrał.



Matka niby rada była z widoku najstarszego syna, ale mizerny mój wygląd czarne przecucia w niej budził. Mój boże, alboż się to mało o niego napłakała po otrzymaniu pierwszego listu z podróży.

— Austria, Kraków — odczytywała kilkakrotnie — „Alstralia“, wiazało się to z tajemnicą życia Sikorskiego. — Lutek. Któż to wie... Zmienił się zupełnie.

Podobne domysły snuli obywatele, co świadoms. Z tej racji mój mizerny stan zewnętrzny nikogo w pole nie wyprowadził. W niedzielę po południu zaprosił mnie Kwaskiewicz pod swój głęboki okap na sąsiedzką pogawędkę, i gdy przy czytaniu „Świątecznej“ zacząłem tłumaczyć

sprawy między wierszowe, stary Lasecki podmignął znacząco:

— A co, nie mówiłem?

A poszlaki były coraz oczywistsze. Wiedziano mnie na mogile powstańca i w lesie nad Pilicą przy tamach, wykonanych jego rękami, oczekiwano na rozpoczęcie podobnej pracy.

— Już on by tam z Alstria, kiedy się do niej dostał, tak sobie bez przyczyny nie wrócił.

— I, taki wybiezdony...

— Dla niepoznaki. Był w kościele. Będzie idiotę stroił jak tamten Mówię panu, jeżeli taki letkiewicz tu na stałe zostaje, znaczy ma ważne przedsięwzięcie. W naszych lasach na pewno jest coś.

— Takie dawne czasy.

— Dobrze nałożona broń sto lat w ziemie poleży, pieniądze jeszcze dłużej.

Domysły się sprawdziły. Nie widząc lepszego wyjścia postanowiłem pozostać w Sulejowie do czasu nawiązania kontaktu z partią, tym bardziej że i tu mogłem pracować ideowo. Stałem się powagą. Zatrzymywano mnie stale na moście i na rynkach pytaniami: „Co tam słyhać na szerokim świecie“... I każdy otrzymywał odpowiedź jakiej sobie życzył. Poważna matrona Sulejowa, stryjeczna siostra babki Okraśińskiej, Zaborowska z Piekarskich otoczona licznymi dziećmi i wnukami, pozostająca na stałe w łóżku, zaprosiła mnie do siebie chcąc się dowiedzieć źródłowo jak będzie z naszą umęczoną Polską? Ona będzie patrzyła na zmianę już „stamtego“ świata, niechże choć młodzi dożyją szczęścia na ziemi.

Pół godziny opowiadałem o nowych hufcach wojska polskiego, organizowanych nie tylko u nas ale i za granicą: na Śląsku, w Poznańskim, w Galicji. Towarzysz pytką przeszedł mi przy tym cieniem po czole, ale tylko lekkim, bo wszystko złe szybko zacierało się w pamięci i pozostawał jasny obraz „Alstria“ z wieżą kościoła Mariackiego (wewnątrz, jako wróg kleru nie byłem) z Wawelem (wypadało tam być ze względu na Mickiewicza i Sobieskiego, ale szczerkiem św. Stanisława wysunąłem język) z obrazami Matejki: „Kościuszkę pod Racławicami“, „Hold pruski“ i Grotgera „Polonia“, „Wojnę“ w Muzeum Narodowym. Z Knopikami, którzy się otrząsali z niemczyzny i patrzyli z nadzieją na Wschód. Galicja stała mi się sztandarem Polski i tak ją przedstawiłem licznym kuzynom i kuzynom zebranych przy niedzieli w dużej rodzinnej izbie. Babunia żegnała mnie ze wzruszeniem: — Niech cię Bóg wszechmocny nie wypuszcza ze swej opieki, mój synu...

Byłem jej wnukiem, awansowałem o jedno pokolenie.

Koledzy szkolni, przede wszystkim starsze roczniki, otoczyli mnie przyjaznym kołem. Ignac Zieliński oddał mi najlepsze swe buty, mówiąc: „Weź, nie wstydz się, Wiemy co robicieś“. Przywioziłem trzy broszury nowej literatury, ale miałem u Olka Olbratowskiego całą podręczną bibliotekę z łódzkich czasów. Rozwinęła się żywa praca na miejscu i w okolicznych wsiach, co stało się zapoczątkowaniem chlubnej historii Sulejowa od roku 1905 do czasów obecnych. „Czerwoni“ jeżeli nawet nie zawsze byli górą, dużą rolę w mieście odgrywali. Sprawę utrzymania załatwiłem nieoczekiwanie dla siebie już w trzecim dniu po przybyciu. Przyjął mnie na podręcznego do siebie młody majster stolarski, Aleksander Olbratowski, z którym łączył mnie związek partyjny od dwóch lat. Zaczęłem wygładzać i prostować powierzchnie drzewa z takim wzruszeniem z jakim pianista uderza w klawisze fortepianu po dłuższej przymusowej przerwie. Teraz dopiero dojrzałem do miłości dla tego rzemiosła i nie mogłem zrozumieć starej nienawiści do niego.

A w niedzielę o świcie łowiłem ryby na Księżych Dołkach. W bluszczone okno między dywanami grzybnicy zapuszczano się wędkę z mocną wiciącą się dżdżownicą na haczyku i najczęściej po minucie szedł pławik pionowo w głębie, budząc dreszcz szczęścia i radość z trzepoczącej się złotej sztuki. Matka ożyła:

— Jesteś znowu moim dzieckiem.

Tymczasem we wtorek, tak jest, na drugi dzień po niedzieli, jednej z najpiękniejszych, w trzecim tygodniu po powrocie przyszło dwóch rosyjskich żandarmów w asyście miejscowego strażnika do warsztatu na ulicy Koneckiej.

Żandarmi nie przyjeżdżali jeszcze do Sulejowa. W ogóle nie wiedziano do czego są przeznaczeni. A tu cały zastęp zjechał przed dom matki i rozszedł się w trzech grupach po miasteczku. Wszyscy czekali na nadzwyczajne wydarzenie aż gruchnęło od Pieców po Kepki:

— Lutka Rudnickiego biera.

Co poboźniejsze obywatelki zaczęły się żegnać

— Już świata nie zobaczy, roztrzęsą i do Wisły!

Policja zajęła mieszkanie matki, majstra i sąsiadów, z którymi najczęściej przestawałem. W pięciu domach jednocześnie przetrząsano pościel rewidowano strychy zagładano do obór, kopano w ogrodach. Matka szepcząc w trwodze, odruchowo: „On mnie też nawiaduje, wie czego mi potrzeba“ nie plakała, brakło jej łez. A gdy ją żandarm zawstydział niegodziwie wychowanym synem opanowała się zupełnie i orzekła spokojnie:

— Pilnujcie swoich, Mój nie kraść.

— I wy też taka.

— A jakże, jaka mać, taka nać — potwierdziła z godnością.

Więzienie przyniosło mi wielkie rozczarowanie. Władze od naczelnika do prostego dozorczy zachowywały się zimno lecz grzecznie. Cela była czysta, obszerne, z widokiem na ulicę. Okno, co prawda — wysoko, ale stanowiący na lawce można było widzieć przechodzącą publiczność i być widzianym. Nic beznamyślnego, nic co by skłaniało do rozmowy z wróbelkiem, motylkiem z oknem lub myszką i pajaczką w celi. Istny

hotel. Tylko ciężkie drzwi, zamknięte na glucho od zewnątrz i krata w oknie przypominały niewolę. Ale czyż byłem kiedykolwiek wolny!

— To ci dopiero więzienie! — roześmiałem się głośno. Usłyszał to starszy dozorca obserwujący mnie na wstępie i niemile moim zachowaniem dotknięty oznajmił kwaśno urzędowym tonem: że tego rodzaju radości, śpiewu i wyglądania oknem zabrania się pod karą karceru.

— A gdy się w karcerze będę śmiał?

— Pójdzie pan do ciemnego.

— A jeżeli i w ciemnym?

— Tam można.

— To nie mogliście mnie od razu tam umieścić?

— Jak pan zasłużył...

— Tak, wiem, nawet na piekło trzeba zasłużyć!

— To ta już nie na nasz rozum! — kończył opryskliwie strażnik, trzaskając za sobą drzwiami

Rozpocząłem spacer po swym pokoju i w zamyśleniu wyobraziłem sobie olbrzymie jajo o kilkunastu ośrodkach, na podobieństwo zabawki dla dzieci. Polska stała mi się trzecią komorą wielkiego więzienia, fabryka czwartą, cela, w której się znalazłem, piątą, karcer szóstą, ciemnica siódmą. Buntujesz się w jednym — monologowałem — wsadzą cię do drugiego — ciśniejszego, aż w pewnym punkcie śmiech już nie jest przestępstwem, a stąd tylko krok do absolutnej wolności. Tak, ciekawie Pan Bóg stworzył świat...

JAN SMUTEK

MICKIEWICZ

Od kraju, z którego na północ ofiary przemocy uwiozła kibitka carska pod jarzmo despoty za przyjaźń i wiarę, przez morze burzliwe, co pianą parską, popłynął na wschód, gdzie okręt kołysał hydrę pamiętek, a stępem głos wolał ojczyzny — daleki — lot podjął farysa na Zachód, przybliżyć odsłonił z czoła poety, z trybuną myśli spiał o legionach, skąd w stronę południa cugłami konia skierował wprost na mogiłę Byrona — i tylko do kraju jak pielgrzym szedł pieszo, by drogę przez wieki torować rzeszom.

CZERWONY KOGUT

Kogut czerwony pieje na wschodzie powstania hasło.

Dzień się obleka w błękitną odzież, Armia go wita, echo odwrzasło.

Las wznosił oszczepy i wsparty o gniew bije na odlew.

Idzie zabawa — sławna — w dwa ognie.

Pierwszy raz kulom, które w nas tłuką, do ziemi uklon.

Długą wyciągam z okopu szyję.

krzyczę co siły — wolność w nas bije.

ANNA KAMENSKA

Witaj blasku, który wschodzisz na szczęściem ludzi.

Witaj waly kielku, choćby o głowce obspanej szronem.

Witaj szepem mówiący głosie wzruszenia, zanim stajesz się hymnem. Zanim stajesz się szeroką aprobatą życia aż do śmierci!

Witaj trawko, która ledwie znasz swój kolor,

Listku, co się wynurzasz z soli i wilgoci,

Witaj wszystko, co się zaczyna,

Wszystko, co siebie pierwszy raz potwierdza dotknięciem.

Tak klęci się o rację kropła ranna z wodogrzmotem.

Spiera się o słusność wstydlive słowo z poematem.

I historia niekiedy, choć w szczerku chodzi wrzawie, Wspina się na palce mijając dom ludzi pracowitych i szczęśliwych.

\*) „Stare i nowe“. Fragment tomu II.

# R S Y T E T<sup>\*)</sup>

Ale obraz, choć ponury, nie budził bolesnych uczuć, bo promienie słońca złożyły kraty wzniecając nieokreślone tęsknoty i nadzieje. Rozpocząłem metodycznie łamać ustanowiony porządek. Przede wszystkim stanąłem ostrożnie w oknie i nawiązałem z bagnetem strażnika, dozorującego na ulicy, obserwowałem otoczenie. Niebawem spotkałem się ze wzrokiem dziewcząt idących przeciwnym chodnikiem. Jedno z nich przesłało mi ręką całusa. Odwzajemniłem się natychmiast, a gdy mnie dalej obiema rękami odbarowywano, podstawiłem czapkę, pokazując na migi, że zbieram na zapas.

Dziewczęta się głośno roześmiały.

— Hej, przechodzić tam!

Miłe zjawisko pozostawiło w duszy jasną smugę. Ogarnęło mnie uczucie rzadkiego zadowolenia, świat i życie zajaśniały nowymi powabami, oczy się zaszklily od szczęścia.

Na ścianie w ciemniejszym narożniku celi ocalały szczątki księgi pamiątkowej. Między kilkunastoma nazwiskami widniały sentencje:

„antoni Rezbda dostał trzy lata aresztanckich rot  
Byndzie siedzioł a jak wysiedzi pudzie na wolność  
clowiecyć śpiwać zeby się z budy wygrzebać“.

Pies cię orznął losi srogii...

K. Gwizdaliński

Byłem pierwszym więźniem politycznym w tej celi i należało to zadoku-

mentować. Wydrapałem więc czytelnie patykami z mioty:

Zadna przemoc nie może wolnych ujarzmić.  
L. R.

Bo nigdy jeszcze nie czułem się tak wolny jak teraz. Od wczesnego dzieciństwa zwiślało nade mną jarzmo ciężkiego poddaństwa. Niewolili mnie rodzice, sąsiedzi, księża, majstrzy, fabrykanci, policja... Chwilami tylko należałem do siebie i radość z przeżycia tych chwil pobudzała do wyższych dążeń. Obecnie całymi dniami wyobrażałem i uczuciem pozostawałem w wielkim wolnym świecie.

Piotrkowskie więzienie od trzech lat przepełnione było więźniami politycznymi. Zdobyto ciężką walką, między innymi, światło, materiały piśmienne i bibliotekę, która się stale powiększała i liczyła już około trzystu tomów. Pierwszy raz w życiu miałem możliwość utonąć w literaturze. Czytałem wprawdzie bez wyboru, co mi dozorca dostarczył, ale nie narzekałem bo i tak przecież czułem się w tym bogactwie jak w lesie.

Uciążliwsze było, że wydawano tylko jedną książkę dziennie i często po kilkugodzinnym wyczekiwaniu. Zaraz na wstępie przyniesiono mi studium Ribota „O wyobraźni twórczej“. Gryzłem je w ciągu dziesięciu godzin z rozpaloną głową trzykrotnie z coraz większym zadowoleniem i pożytkiem. Tyle słów, zdań i określeń nie zrozumiałem. Powtarzałem je po kilka razy, usta sobie obiadem poparzyłem z pośpiechu, by w końcu z radością stwierdzić: zrozumiałem, wszystko zrozumiałem. Daleki jeszcze od znajomości języka ojczystego, wykształcony na żywotach świętych i broszurach socjalistycznych

pretendowałem na zrozumienie poważnego studium psychologicznego. Egzamin przed belfrem wypadłby na pewno niepomyślnie, a jednak naprawdę wniknąłem w treść książki. Dowiedziałem się, niemniej zdziwiony niż molierowski pan Jourdain, że jestem w pewnym zakresie twórcą, że tworzę przez analogię, że pomaga mi w tym uczucie, że odbywające się w mózgu procesy twórcze są źródłem najwyższej rozkoszy ludzkiej, natchnienia. Ta mała książka stała mi się radosnym objawieniem, wstępem do wielu odkryć w labiryncie odczuć już lecz nie uświadomionych jeszcze czynności własnego mózgu.

Wśród kupy plew, dostarczanych mi codziennie na dalszą strawę, otrzymałem „Historię Wielkiej Rewolucji Francuskiej“. Mignęła, coś ze zdartym tytułem Jana Stuarta Milla, Szkice filozoficzne Spencera, Ekonomii polityczną Gide'a, piątą część „Poradnika dla samouków“ i wiele innych cenności.

Szczególnie piękne dla siebie myśli recytowałem głośno i gotów bym w granice wyręć, by na zawsze w pamięci pozostały. Niestety, nie utrwaląłem nawet na zwykłym papierze, bo nie posiadałem dziesięciu groszy na zeszyt i ołówki.

Pozostając wyłącznie na wieziennym stole nie byłem głodny jedynie po obiadach w niedziele i w czwartki, jeżeli podawano grochówkę, lecz uśmierzałem z taką żarłocznością głód umysłowy, że fizycznego nie było czasu odczuwać. Nawet gdy czekałem beczynnie na nową książkę, marzenia o uczcie rozpoczynały się od materiałów piśmiennych.

Gdyby tak nieprzewidywanym zbiegiem okoliczności pół rubla przysłano, kupiłbym atrament, pióro, papier (ileż pięknych myśli ulotniło się bez tego) a za resztę chleba — dużo smacznego chleba. Za całego rubla możnaby wspaniale żyć miesiąc, za trzy — co najmniej pół roku. Hm, tak, ale dzieciństwem jest myśleć o cudach, zwłaszcza „gdy są niepotrzebne do szczęścia“ (zielone winogrona). Co mi tam! „Lepiej być niezadowolonym człowiekiem, niż zadowoloną świnią — lepiej być niezadowolonym Sokratesem niż zadowolonym gupcem“. — Upajałem się tym paradoksem J. S. Milla, na głodno, bo, mimo wszystko w rzeczywistości byłem zadowolonym człowiekiem i Sokratesem.

Czyż można doznać większego zadowolenia, niż to, które odczuwamy w porwie twórczym, gdy się spod naszych rąk wyłaniają nowe kształty? Czułem się lepiej niż Archimedes przed wiekami, poszukujący punktu oporu i dźwigni do podniesienia ziemi. Miałem już ten punkt i tu w zamknięciu wykuwałem dźwignię. Pracowałem gorączkowo. Gdy światło o dziesiątej zabierano, układałem w głowie materiał zdobyty w ciągu dnia i kładłem się spać z myślą, aby nazajutrz jeszcze wcześniej stanąć do pracy.

Bywało, że kilka dni z rzędu podawano mi wyłącznie francuski pomiot literacki, tłumaczony łokciowo przez żony naszych uczonych, wtedy dopiero odczuwałem głód, a kraty w oknie zaślaniały mi świat naprawdę. Tym radośniej wyciągałem ręce po każdą gałązkę wiedzy. „Antropologię“ Taylora czytałem z taką rozkoszą jakbym osobiście udoskonalał narzędzia lub robił nowe odkrycia, a gdy mi niespodzianie dostarczono pierwszy tom Socjologii Spencera, obawiałem się aby zandarmom nie przyszło do głowy uwolnić mnie zanim przeczytam całość.

Cóż, warunki nie były lekkie, gdy się nie miało pomocy. O godzinie ósmej otrzymałem nominalnie pół funta razowego chleba, kilka łazanek żytnich z pół litrem kluszcanki. Obiady o czternastej nawet dość obfite (około litra gęstej zupy), ale ja najadałem się nimi tylko dwa razy w tygodniu. Trzy razy tygodniowo mieliśmy obiady „mięsne“, w pozostałe cztery papki z kasz pachniały starą słoniną. Mimo głodu tyle miałem nieprzewidywalnej odrazy do niektórych dań, że dwa — trzy razy w tygodniu zupełnie nie jadałem głównego pożywienia. Nie mogłem myśleć o kluskach żytnich (szkaplerze Matki Boskiej) z kwaśnym barszczem i łojowym tłuszczem na wierzchu, odurzał mnie do bólu głowy zapach kaszy tatarskiej, po zjedzeniu połowy kłajstru pęczakowego dostawałem mdłości. W ciągu pięciu miesięcy nie posiadałem mydła, a znaleziona w ustępie gilze papierosową dzieliłem na dwie części do użytku zewnętrznego. A jednak wśród tych druko-

wanych skarbów czułem się jak poszukiwacz złota w obliczu niewątpliwych złoczy tego kruszcza. Pierwszy raz w życiu zajęty byłem tym, co mnie najbardziej pociągało.

Czym są żałosne kwilenia wszystkich „poświęcających się“ i krakania „idealistów“ wątpiących o doczesności ideałów. W pewnych warunkach nawet więzienie może się stać rajem.

Widocznie dobrze poinformowano rotmistrza Gnoińskiego, prowadzącego śledztwo, bo bez żadnego wstępu w miesiąc po aresztowaniu dał mi do podpisania gotowy już protokół... „...zeznaję, że do Polskiej Partii Socjalistycznej nie należałem, działaczy partyjnych Leona, Felka, Ludwika nie znam, druków tej partii nie rozpowszechniałem i po transporty literatury nielegalnej za granicę nie jeździłem“.

— Tak pan chciał zeznać?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Ale podpisał pan rzetelną prawdę?

Potwierdziłem obojętnie.

Następne dwa badania powtarzane co kilka tygodni trwały jeszcze krócej, bo sprowadzały się do jednego tylko pytania: „Ma pan co do zakomunikowania?“ Po zaprzeczeniu następował gest wskazujący drogę do celi. Wracając skwapliwie zadowolony, że mi nie zabierają drogiego czasu, którego mi stałe brakowało.

Z braku wolnego miejsca w śledczej części więzienia umieszczono mnie na pierwszym piętrze w obszernej celi oddziału warsztatowego. Byłem zupełnie od towarzyszy odosobniony a odgłosy codziennego życia więźni z pukaniem, z alfabetem znakowym, z siecią najosobliwszych dróg pocztowych przypadkowo tylko dochodziły do mnie.

Od czasu do czasu w przejściach na codzienne spacerki spotykałem znajomych. Mignęła mi z daleka twarz Sławka, widziałem codziennie za kratą uśmiechniętą twarz dr. Adama Piwowara z Dąbrowy Górniczej i niespodziewanie w kilka dni po aresztowaniu natknąłem się w ciemnym korytarzu na Wędrowskiego, który mimo obecność dozorcę zdążył mi wręczyć maleńki zwitek: „Jutro wieczorem przyjdzie do was pod drzwie strażnik, zawiadomcie mnie w jakich warunkach was wzięto. Piszcze śmiało, poczta zupełnie pewna“.

Poczta rzeczywiście w oznaczonym czasie dała znać o sobie, ale obawiałem się poruszać piśmiennie ważniejsze rzeczy, a dla błahostek nie chciałem narażać dozorcę. Jakież było moje zdziwienie, gdy w tydzień po tej propozycji zobaczyłem kolegę pod swoim oknem na ulicy.

Wędrowski stanął w sieni przeciwległego domu i gdy wartujący strażnik, spacerując, stanął do niego plecami, rzekł na migi:

— Wykręciłem się.

Wyraziłem w ten sam sposób szczerze zadowolenie.

— Może co załatwić?

— Nic mi nie potrzeba.

Wędrowski się uśmiechnął i po chwili na ponowne odwrócenie się strażnika począł smutnie kiwać głową.

— Nie płaczcie — pokazałem mu, rozbawiony tym ubolewaniem — weselej mi tu niż zdrajcom na wolności.

Wędrowski się zmieształ, zaczerwienił i wskazując palcem w swe piersi zapytał:

— Kto, ja?

Błyskawica rzeczywistości rozświetliła mój umysł. Do ostatniej chwili ani mi



na myśl nie przyszło podejrzenie i nagle jeden gest kolegi zrodził pewność, że mam przed sobą prowokatora. Głęboko poruszony nie odpowiadałem na pytanie, odszedłem od okna i teraz dopiero rozumiałem te przejawy nastrojów „towarzysza“, które mnie niegdyś przelotnie niepokoiły.

Lucjan Rudnicki

## MIECZYSLAWA BUCZKÓWNA

### POLEGŁYM W MAJU

W kwiatkach umierały owady,  
czy umierały piękniej?  
Ginęły wałki u wody,  
drzewa sądu białym deszczem,  
ptaki zaplątane w przestrzeń  
czy umierały piękniej?

Gdy ich krew w ziemię spływa,  
korzonkom nieznana jeszcze,  
gdy kamienie bruku zmywa,  
krzepnie w świetle księżycy,  
dziwi się trawa, kamienie  
powietrze i biała rzeka,  
słońce i noce cienie —  
że bić przestało serce człowieka

## JAN ŚPIEWAK

### NOWY WIERSZ

Czy jabłoń zwiednie, jeśli cień jej zgaśnie?  
Czy sarna bywa smutna, gdy zieleni żrenie  
węglona łuska wiatru dotyka niedbale?  
Wybaczyć mi milczący, kiedy radość swoją  
Na piasku waszych westchnień układam milczenie.  
Ustokrotniony spojrzaniem żony, jej mądrą bliskość czując  
Szoskości dotkne dnia.

Głodomij oplątany byłem,  
nie nerwem chmury ani nerwem fali, czułością skamieniałych liści,  
nie kielkowaniem głazu, nie śliskim okrucieństwem burzy,  
lecz brzegiem szerniałego śniegu, oddechem Waszych warg odziany.  
Cóż drzewo wędrujące polem, coż krzak płynący dźwiękiem  
wtopiony w rzeki, które kroczą ku wyciągniętym dłoniom Waszym.  
Oniesmielony smutkiem własnym w każdej galezi budowałem schron.  
O miłowana moja! Z pogardy samotności wydobyty  
jakże zwiednym jabłoniom cienie mogę zwrócić?  
Twe wargi zamieszkały w moich oczach.  
Na Twoich włosach sen się chwije pieśnią,  
W Twoich dłoniach każdy owoc mówi ludzką mową  
A w naszych żyłach kroczy krew ku sercu syna...

## MIROSLAW OCHOCKI

### GODZINA

Godzino w letnim wieczorze  
Godzino, masz kształt i barwę  
Dawnych odjazdów z domu —  
Gdy z jablek spada blask, gdy dymi woń, gdy nagle  
Zjawiony pod dłońią mrok drży, zanim otworzy  
Noc — noc i wieczór tamten, zatopiony w martwej  
Południe szyb i w ciszy — w cieniu jodeł stromych —  
Godzino, gdy oparty czołem o noc, płynę  
W błającą światłem chwilę, kiedy moją pamięć  
Rzuciwszy na kolana odpływa w żarliwy  
Wieczór tamten, wskrzeszony znów — chwilę, godzino —  
Jesteś jak moje czoło,  
Jesteś jak moje ramię  
Białe w ciemności, gdy dźwiga z popiołu  
Kształt żywy.

EDMUND ZALEWSKI

## CHRISTO BOTEW



Wielki poeta bułgarski Christo Botew należy do tych pisarzy światowych, którzy ściśle łączą twórczość pisarską z działalnością rewolucyjną. Jego życie związane jest z czynną walką o wyzwolenie Bułgarii z niewoli tureckiej, a jego poezja wypełniona jest płomiennymi wezwaniami do walki o wolność i socjalizm.

Christo Botew<sup>1)</sup> urodził się 7 stycznia 1849 roku w małym miasteczku Kalofier, w okolicach doliny, która zasłynęła później plantacjami róż i produkcją olejku różanego.

Wówczas, gdy młody Botew wychowywał się w niezamożnej rodzinie miejscowego działacza oświatowego, w okolicznych górach nieustannie walczyli z Turkami nieustraszeni

<sup>1)</sup> w niektórych książkach używa się pisowni — Botiow. Ojciec nazywał się Botiu Petkow, to znaczyło syn Petki, syn jego Christo syn Botiow. Wiele rodzin nie posiadało nazwisk.

„hajducy”<sup>2)</sup>. Legendy i pieśni ludowe opiewające ich walkę głęboko zapadały w duszę młodzieńca. Legendy te łączyły się w jego wyobraźni z pięknem wspaniałych masywów górskich Starej Planiny<sup>3)</sup>. Były one przeniknięte czułą miłością przyrody bułgarskiej ale nade wszystko górowała w nich tęsknota do wolności ojczyzny, do wolności człowieka.

Jakże tu pisać inne wiersze, kiedy naród uciśniony niewolą polityczną a lud nie ma żadnych praw do samodzielnego gospodarczego i kulturalnego rozwoju? Sprowadzeni przez Turków greccy popi i nauczyciele wynaradawiali Bułgarów, nie rozumiejąc ich słowiańskiej obyczajowości, ich narodowej historii. Rodzimi feodalni agrariusze uprawiali wyzysk chłopów bułgarskich narówni z wielkimi tureckimi biurokracjami.

W piętnastym roku życia Christo Botew

<sup>2)</sup> „hajducy” — bojownicy — zbrojnicy.

<sup>3)</sup> Stara planina — znaczna część Bałkanów

wyjeżdża na naukę do Rosji osiada w Odesie, gdzie uczęszcza do gimnazjum i tam, bułgarski poeta pierwszy raz styka się z utworami rosyjskich rewolucyjnych pisarzy. Czyta tajne pisma Hercena i Czernyszewskiego. Wywarły one wielki wpływ na umysłowość Botewa. Jego napięcie rewolucyjne wzrasta, rozpala się uczuciowość, wzmagają się pragnienie walki. Ale jednocześnie władze szkolne zauważywszy niedozwolone zainteresowania ucznia bułgarskiego, bez ceremonii usuwają go ze szkoły z tak zwanym „wilczym biletem”. Pozbawiony środków do życia przez utratę stypendium szkolnego poeta przebywa jeszcze jakiś czas w Odesie, udzielając lekcyj w rodzinie pewnego polskiego emigranta.

W końcu 1866 r. wyjeżdża i osiedla się czasowo w Bessarabii, żeby być bliżej kraju ojczystego.

Na krótki czas zjawia się w Kalofierze i zaraz wyjeżdża do Rumunii, wchodząc tam w środowisko politycznej emigracji bułgarskiej. W okresie Komuny Paryskiej staje się gorliwym wyznawcą hasel komunistycznych. Redaguje odezwy i „gazetki” rewolucyjne. W Galacu, wśród emigracji tworzy pierwszą komunistyczną bułgarską komórkę organizacyjną. Pisze manifest rewolucyjny pod tytułem „Symbol wiary bułgarskich komunistów”. Głosi w nim: „Wierzę w powszechną jedyną konieczność rodzaju ludzkiego na kuli ziemskiej — tworzyć dobro, w jedyny powszechny porządek komunistyczny — ratunek dla wszystkich uciskanych narodów — dążeniu do braterstwa, równości i wolności i w jedyną niepodzielną ojczyznę wszystkich ludzi i ich wspólne władanie całym majątkiem. Jestem wyznawcą powszechnego komunizmu, znoszącego wszelkie niedostatki społeczeństw! — Przeciwstawiam pobudzenie narodów i powstanie w przyszłości komunistycznego ustroju w całym świecie”.

W tym samym 1871 r., łącznie z „Symbolem wiary” — Botew wysłał z Galacu do Paryża, pod adresem Komitetu Komunistycznego, depeszę następującej treści: „Braterskie i serdeczne pozdrowienia od bułgarskich komunistów. Niech żyje Komuna!”... Teraz z jeszcze większym zapałem oddaje się działalności rewolucyjnej. Wyraża w pismach poglądy, że tylko „natchmiastowa naroda rewolucja może oczyścić Bałkany nie tylko od Turków, ale i od wszystkich, co może szkodzić dążeniu do pełnej wolności społecznej” — Christo Botew poznaje się z całą plejadą przywódców narodowych i pisarzy, pracujących nad odrodzeniem kultury narodowej Bułgarii. Najwybitniejszy wśród nich Luben Karawielow — demokrat i radykał społeczny początkowo należy do Komitetu Botewa, ale później zrzuca z nim i obaj pisarze w dyskusjach i w pracach swoich zwalczają się ostro. Początkowo razem redagują pisma emigracyjne: „Niezależność”, a następnie „Sztandar”. Ale Botewa unosi młodzieńczy temperament i bojowość, jaknacja czynu. Botew zwalcza niemal wszystkich starszych pisarzy, jak Rakowskiego, który wodził rej w emigracji bułgarskiej bałkańskich państw sąsiednich. Niecierpliwia go tkliwa, ale mało bojowa poezja innych utalentowanych poetów jak Petko Stawejkow.

„Wszystko zmusza człowieka do walki za prawdę i wolność” — mówi poeta. — I tę walkę pojmuje realnie. W 1875 r. rewolucjonistów bułgarskich przygotowują powstanie zbrojne. Wyznaczono dzień 16 września. Turcy jednak znali datę i próbę powstania stłumili w zarodku. Znow zaczęły się dalsze zmuszające przygotowania, podczas których nie brakło osobistych sporów na temat faktyki.

Kiedy wyznaczona została nowa data na dzień 11 maja 1876 r., część powstańców miała się przeprowadzić w Rumunii przez Dunaj i uderzyć na Turków, skupionych w garnizonach fortec górskich. W jednym z takich oddziałów powstańczych dowódcą był Christo Botew. Wylądował ze swoim oddziałem na brzegu Dunaju pod miasteczkiem Kozloduj i zdał na południe. W górach na przełęczy Iskier w pobliżu miasteczka Wraca został otoczony przez przeważające siły tureckie. Nieprzyjacielska kula przebiła mu czoło. Potomni postawili mu w miasteczku Wraca pomnik i nazwali miejscową ludową szkołę Jego imieniem.

Życie Botewa było walką i w tej walce był poeta zgodny z tym co pisał. „W żadnym utworze naszej poezji (bułgarskiej), pisze Bojan Penew w swojej „Literaturze Bułgarskiej” (opracowanej po polsku przez prof. Gołębka (1938 r.), nie przedstawiano z taką siłą — współzycia powstania i przyrody, jak w pieśniach Botewa”. W utworze pt. „Chadzi Dymitr” pisze poeta —

„Kto w boju życie odda za wolność,  
Ten nie umiera; nad nim płacze  
Ziemia i niebo, zwierz i przyroda,  
I wieszczę o nim pieśń śpiewają.  
W dzień go orlika cieniem zastania,  
I wilk łagodnie liże mu rane,  
A nad nim sokół, ptak junacki,  
I on nad bratem, junakiem się żali...”  
„las zasumi, wietrzyk zawieje,  
A Bałkan śpiewa junacką pieśń”...

Wiersze Christo Botewa przewożą w walce następnemu pokoleniu bułgarskiemu, młodym partyzantom naszej współczesności, którzy za jego przykładem walczyli zarówno z rodzimym faszyzmem jak i z obcym najeźdźcą. I kto widział Bałkany, ten nigdy nie zapomni pisarza, który osiągnął wysoką harmonię między poezją a życiem.

Przełożył WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Edmund Zalewski

CHRISTO BOTEW

## NA POŻEGNANIE 1868 R.

O nie płacz, nie smuć się, matko,  
Zem zstał zbrojcem, hajdukiem,  
Hajdukiem i buntownikiem,  
I zem cię w żalu porzucił  
Tesknąc za pierworodnym.  
Ale klnij, matko, przeklinaj  
Tę czarną turecką przemoc,  
Która nas młodych wygnana  
Na ową ciężką obczyznę,  
Byśmy tulali się błądząc,  
Wszystkim niemili i obcy.  
Wiem, matko, zem tobie miły,  
Ze młodo być może zgine  
Już jutro, gdy się przeprawię  
Przez cichy i biały Dunaj.  
Lecz powiedz, coż mam czynić.  
Kiedyś mnie, matko, zrodziła  
Z sercem odważnym, junackim,  
A serce, matko, nie ścierpi  
Patrząc jak Turek się miota  
Ponad ojcowym ogniskiem,  
Tam, gdzie się zrodził, gdzie pierwsze  
Mleko pił z piersi matczynej,  
Tam, gdzie kochana dziewczyna  
Czarne swe oczy wznosiła  
I ze spokojnym uśmiechem  
W serce spojrzeniem wnikała.  
Tam, gdzie mój ojciec i bracia  
Czarni i za mnie czernieją!  
Ach matko, matko junacka,  
Przebacz i żegnaj na zawsze!  
Wziąłem na ramię karabin,  
Spieszę, wzywany przez naród,  
Na wroga, na niewiernego.  
Za to, co bliskie i drogie,  
Za ciebie, ojca i braci  
Do boju rzucę się z wrogiem,  
A jak — to szabla pokaże  
I honor, matko, junacki!  
A gdy usłyszysz, matulu,  
Że kula nad wsią zaśpiewa,  
Gdy chłopcy naraz wyskoczą,  
To wyjdź, zapytaj ich, matko,  
Gdzie twoje dziecko zostało,  
Gdy ci powiedzą, że w boju  
Padłem ołowiem przebity,  
I wtedy nawet nie zapłacz,  
Ani nie słuchaj, jak ludzie  
Będą ci o mnie mówili:  
„Coż, nigdy nie dbał o matkę” —  
Ale idź, matko, do domu  
I niedorosłym mym braciom  
Wszystko jak było opowiedz.  
By pamiętać, wiedzieli,  
Ze oni też mieli brata,  
Ale że brat ich padł w boju,  
Gdyż, nieszczęśliwy, nie umiał  
Przed Turkiem głowy pochylić  
Patrząc na dole nędzarzy!  
Powiedz im, matko, niech pomną,  
Niech pomną, niech mnie szukają:  
Białego ciała po skalach,  
Po skalach, po orlich gniazdach,  
A czarnej krwi mojej w ziemi,  
W ziemi, o matko ma, czarnej!  
A gdy mój znajda karabin,  
Karabin, matko, i szablę,  
I gdy spotkają się z wrogiem —  
Niechaj go kulą pozdrowią,  
A szablą niech go pogłaszczą.  
A jeśli, matko, nie możesz  
Z litości i tego zrobić,  
To niech się zbiera dziewczęta  
Przed domem na korowody,  
Gdy przyjdą moi kamraci  
I smutna moja dziewczyna,  
To wyjdź, o matko, posłuchaj  
Z moimi młodszymi braćmi  
Tej mojej pieśni junackiej —  
Jak i dla czego zginąłem  
I jakie słowa wyrzekłem  
Przed śmiercią wobec drużyny...  
Smutno, o matko, popatrzysz  
Na ten korowód wesoly,  
A gdy napotkasz spojrzem  
Mej ukochanej dziewczyny,  
Jednako westchną głęboko  
Dwa milujące mnie serca —  
Jej serce, matko, i twoje!  
Z oczu dwie łzy się potoczą  
Na starą pierś i na młodą...  
Niechaj zobaczą to bracia,  
A kiedy, matko, wyrosną

Jak brat ich — będą znów mocno  
I kochać i nienawidzić...  
Gdybym zaś, matko, matulu,  
Zdrowy i cały powrócił,  
Cały i zdrow, ze sztandarem,  
A pod sztandarem junacy,  
Ubrani w mundur żołnierski,  
Z lwami złotymi na czolach,  
Z bagnietem na karabinie  
I z szablą-żmiją u boku —  
O, wtedy, matko junacka,  
O, miła, piękna dziewczyno!  
Zbierajcie kwiaty w ogrodzie,  
Zrywajcie buszeczki i bodziszki,  
Splatajcie wieńce, równianki,  
By złożyć głowy i orzę!  
A wtedy z wieńcem, równianką  
Wyjdź, matko, na me spotkanie,  
Przyjdź do mnie, matko, uściśnij  
I w jasne czoło ucałuj,  
Jasne przez dwa święte słowa:  
SWOBODA I ŚMIERĆ junacka.  
A ja uściśnię kochaną  
Krwawą mą dłonią przez ramię,  
By czuła serce junackie,  
Jak gra, jak bije to serce:  
Wstrzymam jej płacz pocalunkiem,  
A lzy jej spiję ustami...  
A wtedy... żegnaj mi, matko!  
Ty, miła, mnie nie zapomnij!  
Drużyna moja wyrusza,  
Droga jest straszna, lecz sławna:  
Być może młodo polegę,  
Lecz w tym swą widzę nagrodę,  
Ze kiedyś powie mój naród:  
Zginął — niebogi — za prawdę,  
Za prawdę i za swobodę.

Przełożył SEWERYN POLLAK

## MOJA MODLITWA

„Pobłogosław nam, Boże...”  
Mój Boże, prawy Boże,  
Nie ty, co królujesz w niebie,  
Lecz ty, który we mnie, Boże,  
W sercu mym objawiasz siebie,  
Nie ty, któryś rad pokłonem  
Popa, co cię kornie słaui,  
Nie ty, dla którego płoną  
Świece bydlat prawosławnych;  
Nie ty, coś ulepił z błota  
Męża i niewiastę płochą,  
A człowieka stworzył po to,  
By legł jak niewolnik w prochu.  
Nie ty, coś pomazał raczył  
Patriarchów i cesarzy,  
A odwrócił się od placzu  
Szarych braci mych — nędzarzy;  
Nie ty, który niewolnika  
Uczysz modłów i cierpienia,  
By do grobu on przywykał  
Żywić się nadziei cieniem  
Nie ty, oszukańców Panie,  
Boże łotrów i tyranów  
Nie ty, głupich kptów bałwanie,  
Władco wrogów-jaśniepanów,  
Ale ty, rozumie Panie,  
Co nędzarzy wiesziesz hufce,  
Dzień, którego świętowaniem  
Każdy naród uczi wkrótce,  
Ty każdemu wetchnij, Boże,  
Żywą miłość dowolności,  
Iżby lud walczył, jak może,  
Z wrogiem prawdy i ludzkości.  
Ty do walki podwój się siłę  
Uzbrojonej mej prawicy,  
Niech i ja znajdę mogiłę,  
Gdy powstaną niewolnicy!  
Nie daj, by w obcej krainie  
Stygło serce moje, Panie,  
I niech nigdy nie przemienie,  
Jak na puszczy, me wołanie!...

Przełożył WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Edmund Zalewski



IGNACY WITZ

# Na marginesie krakowskiej wystawy sztuki nowoczesnej

Doskonałym materiałem do toczącej się obecnie dyskusji o zasadniczych sprawach sztuki polskiej stała się wystawa sztuki nowoczesnej w Krakowskim Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, która przedstawiła prace 37 artystów, stanowiących trzon polskiej awangardy plastycznej. Wystawa ta wywołała duże poruszenie i zainteresowanie, uwidoczniła sprzeczności i nieporozumienia istniejące między twórcą a odbiorcą oraz pomiędzy samymi artystami. Miarą zainteresowania publiczności była liczna frekwencja i silna reakcja zwiedzających zależnie zresztą od widza dodatnia lub ujemna.

Wystawa miała charakter wyraźnie demonstracyjny, wyrażający się nie tylko w gatunku i rodzaju prac, ale też ich rozwiązaniu, podaniu, kompozycji katalogu oraz w innych, niedwuznacznie na to wskazujących szczegółach. Miało to podkreślić fakt istnienia bojowej i przężnej grupy artystów o wspólnym programie twórczym. Pierwszym naturalnym pytaniem jest więc pytanie: preczemu miała miejsce ta demonstracja? W odpowiedzi na nie należy odsunąć na razie na plan dalszy zagadnienie jej słuszności czy niesłuszności.

Ażeby odpowiedzieć na tak sformułowane pytanie, musimy się cofnąć w czasie, gdyż uzasadnienie znaleźć możemy jedynie w analizie i ocenie zjawisk artystycznych ubiegłych lat.

Sztuka polska zna w swojej historii jedną istotną rewolucję. Była nią działalność grupy formistów oraz ich wystawa w roku 1917. W przeciwieństwie do sporadycznych wypadków rewolucjonizowania naszej sztuki przez poszczególnych artystów (Słewiński, wczesny Podkowiński, Gierzyński, Panikiewicz czy Makowski) był formizm zorganizowanym ruchem o wypracowanym, obejmującym w dużym stopniu wszystkich członków grupy, nowatorskim programie artystycznym. Formiści stanowili zdecydowany, twórczy i poniekąd nawet masowy prąd, wydający i wysuwający na czoło sztuki wielu twórczych artystów (bracia Pronaszkowe, Czyżewski, Hrynkowski, Niesiołowski, Mięrzewski, St. I. Witkiewicz, Zamojski, Wąsowicz, Witkowski, Radnicki, Gotlieb i in.), którzy przez długi czas byli czołową i żywą pozycją w rozwoju sztuki polskiej.

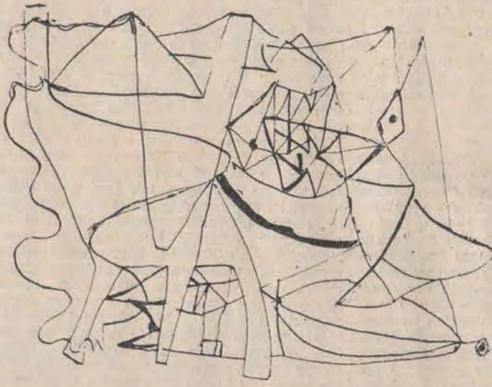
Działalność formistów była zdecydowaną reakcją przeciwko wszystkim naturalistycznym, paselistycznym i nietwórczym przejawom sztuki w Polsce. Podstawą tego ruchu była chęć ukształtowania: wizji malarskiej, kompozycji podporządkowanej formie i tektonicznej budowie obrazu. Słowem temu, co stanowiło w twórczości Cezanne'a zasadniczy element sztuki. Twórczość Cezanne'a wyrosła całkowicie z impresjonizmu i będąc jego konsekwencją — stała się w ostatecznym wyniku antytezą impresji, sprzecznością, z której powstało nowe. To wszystko co wnosili impresjonizm, moment ruchu i przemijania, moment zmienności natury, u Cezanne'a przyoblało się w formy stałe, w formy świadomej konstrukcji, często sprwadżanej do geometryzacji.

Przykład Cezanne'a jest dziś przykładem poniekąd klasycznym. Jakkolwiek sytuacja, przeciwko której oponował Cezanne, różniła się diametralnie, a to dzięki warunkom zewnętrzny, od sytuacji, w jakiej znaleźli się formiści, postuży nam ona jako analogia, tym bardziej, że na dnie ruchu formistycznego leżały idee cezannowskie. Sztuka polska w drugim dziesięcioleciu XX wieku przedstawiała się niezbyt ciekawie a reprezentowana była przez pogrobowców naturalizmu, narodowego symbolizmu i pseudopresjonizmu, z wyraźnym zapachem rutyny szkoły monachijskiej. Słowem, nie działo się w niej nic żywego, coby dawało tej sztuce miejsce we współczesnym jej okresie rozwoju malarstwa europejskiego. Działalność formistów skierowała zainteresowania artystów na zasadnicze, elementarne problemy sztuki w ogóle, na sprawy koloru, formy i budowy płaszczyzny. U podstaw tego ruchu leżało zainteresowanie naturą, która stawała się pretekstem do nowego, współczesnego widzenia, przedstawienia formy i przedmiotu.

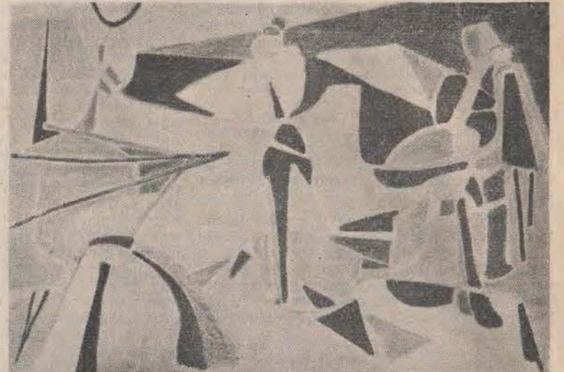
Zapoczątkowany przez formistów ruch rozwijał się w dalszym ciągu. Nowe pokolenia młodych artystów rewolucjonizowały i rozwijały podstawy, jakie na grunt polski wprowadził formizm, znajdując się w stałej opozycji i w walce z ciągle bardzo silnymi w Polsce tendencjami naturalistycznymi i postimpresjonistycznymi. Odbywało się to zresztą równoległe z tymi zjawiskami w dziedzinie sztuki, jakie w owym czasie poruszały Paryż i inne ośrodki sztuki współczesnej.

Była to przede wszystkim działalność kubistów a więc Picassa, Légera, Braque'a i innych, oraz działalność abstrakcjonistów w rodzaju Mondriana, Hansa Arpa, Paula Klee, nadrealistów, działalność Kandiańskiego, Malewicza oraz artystów zgrupowanych wokół tzw. „Bauhausu” w Dessau. Wszystkie te kierunki różniące się między sobą zarówno sposobem interpretacji, jak i filozoficzno-teoretyczną podbudową, zasadniczo stanowiły reakcję przeciwko przedmiotowemu widzeniu świata. Reakcje więc niewątpliwie idealistyczne, mimo że najwybitniejsi przedstawiciele tego ruchu politycznie byli lewicowcami.

Wynalazek fotografii i kinematografii znalazł odzwierciedlenie w twórczości impresjonistów jednakże wpływ ten zanikł u następnym pokoleniu malarskim, do których przemawiały inne zjawiska. Poszukiwano nowego sposobu patrzenia w dół gorączkowy sposób, sięgnięto do elementarnych wartości plastycznych i do głębokich przeżyć estetycz-

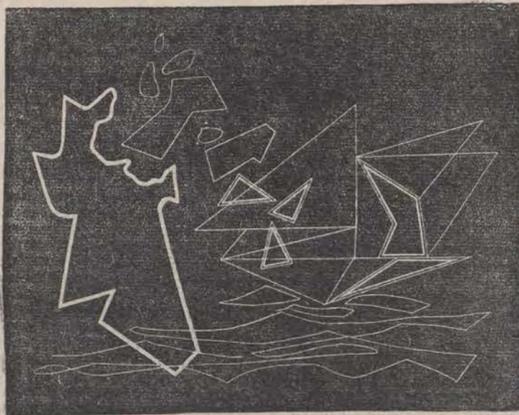


Marek Włodarski



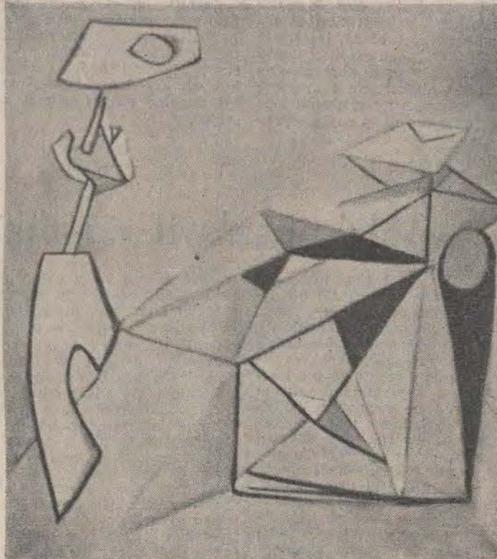
Maria Jarema

„pejzaż” tempera



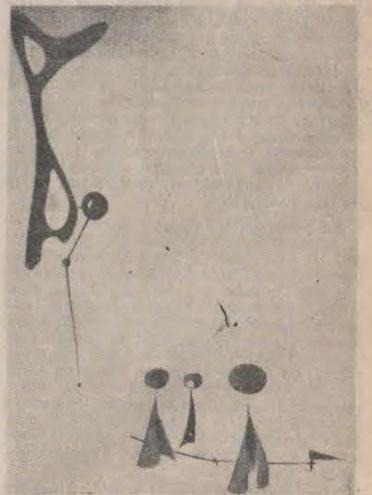
Henryk Słazewski

„Kompozycja”



Tadeusz Kantor

„Krajobraz czterdzieści jeden”



Kazimierz Mikulski

„Wieczorami słyszymy gwiazd pociągów”



Jerzy Skarżyński

„rysunek”

nych, jakie budziła twórczość ludów pierwotnych, prymitywów, dzieci, sztuka kultur przedhistorycznych. Zwrócono również uwagę na zamknięty i niewidoczny dotychczas świat form udoświadczony przez np. mikrobiologię oraz postęp techniczny (kompozycje przestrzenne). Gorączkowe poszukiwanie współczesności znajdowało coraz to nowe ujęcia w próbach związania się z życiem lub chociażby z jego pozorami. Podniety do twórczości szukano m. inn. we freudyzmie i zwłaszcza w bergsonizmie, które stały się poniekąd duchowymi oczyma surrealizmu operującego metodą metafory malarskiej, marzeń sennych i podświadomych odruchów. Powstają w plastyce coraz to nowe fetysze i kapliczki gromadzące wiernych. Lecz mimo wszystko tradycja modernistyczna stała się najbardziej żywym i twórczym motorem sztuki współczesnej, wydając szereg wielkich artystów.

W Polsce w okresie tym, a mamy na myśli okres międzywojenny, działo kilka grup modernistycznych - nowatorskich. Przede wszystkim była to grupa „Praesens”, skupiająca m. in. Szczukę, Słazewskiego, Rafa-

łowskiego, Syrkuśów, następnie lwowski „Artes” (Włodarski, Lille, Sielski) dalej grupa łódzkiej „Formy” (Strzeziński, Kobro, Wagner, Menkesowa, K. Hiller, Jankiel Adler), „Grupa Krakowska” (Lewicki, Wiciński, Rosenstein, Jarema, Osostowicz, Stern i inni), „Nowa Generacja” oraz szereg niezszesnionych artystów. Działalność tych ugrupowań była wyraźnie bojkotowana przez czynników oficjalne, jakkolwiek wywierała zasadniczy i poniekąd decydujący wpływ na szereg dziedzin i dyscyplin sztuki. Mam tu na myśli przede wszystkim nowoczesną architekturę, urbanistykę, wnetrzarstwo, meblarstwo, przemysł artystyczny, tkactwo oraz grafikę użytkową i scenografię.

Wojna i okupacja przerwała i w dużym stopniu zahamowała rozwój sztuki polskiej. Liczba zmarłych lub zamordowanych artystów dotknęła szczególnie mocno ugrupowania nowatorskie, chociażby i z tego względu, że większość tych artystów znana była z lewicowych przekonań politycznych.

Okres powojenny przyniósł wzmoczoną aktywność nowatorów. W większości — grupy nowoczesnych artystów składają się z młodzieży oraz z pozostałych przy życiu człon-

ków ugrupowań przedwojennych (Słazewski, Włodarski, Wegner, Jarema, Stern, Rosenstein, Lenica), jak również artystów, którzy już po wojnie dołączyli się do tego ruchu (Malina, Tyszkiewiczowa, Umińska).

Postulaty związania sztuki z życiem, powiązania jej ze społecznymi i politycznymi zjawiskami współczesnego życia napotykała na opór albo zachowawczej paselistycznej postawy z jej naturalistycznymi tendencjami — albo też na opór artystów głoszących zupełną „integralność” sztuk plastycznych. Jedno jest pewne: każda nowa epoka historyczna wypracowuje odrębną i oryginalną formę dla swojej twórczości. Forma ta musi odpowiadać współczesności, musi ją odzwierciedlać, musi mówić o niej. Dlatego też dążenia grupy „nowoczesnych” — bo na podstawie omawianej wystawy tylko o dążeniach możemy mówić — wydają się cenne, gdyż zadanie, jakie sobie postawili, to znaczy zadanie, nowego widzenia, zagadnienie nowej formy, jest stałe przez artystów tych rozpracowywane. Ale stanowi to tylko jeden z aspektów sprawy.

Wiemy bowiem, że prace ocenia się nie na podstawie dążeń, lecz na podstawie wyników. Tych niestety zobaczyć na razie nie sposób. Mam wrażenie, że nie jest to słabością wyłącznie malarzy reprezentowanych na wystawie, ale najważniejszą trudnością

jaką ma do pokonania plastyka współczesna w ogóle.

Formy zmieniające się w każdej epoce, zmieniają się pod działaniem postępowych przemian życiowych, towarzyszącej im ideologii i postępu technicznego. Nie oderwana, „integralna” działalność artystów rewolucjonizowała sztukę — rewolucjonizowały ją warunki i jako jeden z czynników wynalazki techniczne. Światłocień w malarstwie Odrodzenia zjawiał się po wynalezieniu farb olejnych, a światłocień i modelunek należy do zasadniczych cech malarstwa renesansowego. Wynalazek litografii zrodził plejadę nowego typu rysowników, jak Daumier, Gavarni, w bardzo odmienny sposób reagujących na zjawiska i formy. Wiemy, jak decydujący wpływ na impresjonizm wywarły badania Helmholtza nad optyką oraz pochodna tych badań: wynalazek braci Lumière.

Wiemy również, w jaki sposób warunki społeczne kształtowały obraz sztuki, jakie znaczenie miało dla niej zapotrzebowanie określonej klasy społecznej, czego najlepszym dowodem jest mieszczańska realistyczna sztuka holenderska czy burżuazyjna sztuka impresjonizmu. Wiemy również że w każdej epoce istniały w łonie kultur narodowych dwa oddzielne łożyska twórczości artystycznej, odpowiadające różnym klasom. Zawsze istniała sztuka ludowa i sztuka klas panujących.

Nowa epoka, epoka socjalizmu prowadzi do zniesienia klas społecznych, w związku z czym rozdziła, jaki istniał zawsze w sztuce, zniknie — gdy sztuka będzie wytworem bezklasowego społeczeństwa.

Nasza epoka upadku kapitalizmu to epoka gwałtownych paroksyzmów. Sztuka, odpowiednik życia, nie jest od nich także wolna. Ale tak jak widzimy już perspektywy przyszłych warunków życia, stopniowo zaczynamy uświadamiać sobie obraz przyszłości sztuki.

Postęp techniczny przyniósł nam szereg kapitalnych wynalazków, które muszą w przyszłości zrewolucjonizować sztukę i umocnić ją w niespotykanej dotychczas skali. Mam tu na myśli przede wszystkim wspaniałą rozwój poligrafii, barwnej reprodukcji, filmu kolorowego i plastycznego, telewizji oraz wynalazków w dziedzinie budownictwa, materiałów budowlanych i statyki, postęp w tkactwie, w dziedzinie jego mechanizacji, produkcje sztucznego włókna. Kto wie, może wszystkie te czynniki wyrugują sztuczny już w takich warunkach twór — obraz sztalugowy, oryginał w jednym egzemplarzu — przy czym społeczeństwo otrzyma dzieła sztuki powielane w wielkiej ilości egzemplarzy? Możliwe też, że perspektywa rozwoju filmu kolorowego wymagać będzie od plastyka stałej twórczej pracy; zjawisko to powtórzy się również w telewizji. Niewątpliwie wskazane zostanie wielkie malarstwo monumentalne, zgodne z nową formą architektoniczną.

Zeby jednak wszystkie te postulaty mogły być urzeczywistnione, sztuka współczesna musi znaleźć najścisłe więzy jednoczące ją z życiem. Oczywiście — zagadnienie to musi być rozwiązywane na razie w sferze poszukiwań, formalnych i ideologicznych.

Poszukiwanie jest też najwyraźniejszym akcentem wystawy krakowskiej; niestety z poszukiwań tych nie wysnuli artyści żadnego wniosku. Powiedzieli „jak” ale nie powiedzieli „po co” i „dlaczego”. Wiele z wystawionych tam prac posiada dużo poważnych formalnych wartości plastycznych, wiele interesujące gry malarskiej i czysto estetycznego przeżycia, natomiast bardzo mało ujrzyliśmy tam pozytywne, konstruktywne czynniki jakiegokolwiek użyteczności. Był to jedynie materiał do wysnuwania wniosków, które ktoś musi wyciągnąć.

Ignacy Witk

## PRZEGLĄD PRASY

### Czego nie powiedzieli teoretycy

Trudno powiedzieć, że nasze pisma literackie są bardzo interesujące. Okres ożywionych polemik minął, wiele pojęć zostało ustalonych w pracach i artykułach krytyczno-teoretycznych zanim zastosowano je w praktyce. Między postulatami a ich spełnieniem zmieszczą się jeszcze szeroko rozwarłe nożyce. Jako czytelnik muszę wyznać, że te prace, które czytałem ostatnio w czasopiśmie, a które były pisane z myślą o tym, by postulatami odpowiadały, nie sprawiły na mnie tego wrażenia — ani intelektualnego ani artystycznego — jakie było niewątpliwie ich zamierzeniem. Niektórzy pisarze ułatwiają sobie zadanie i podpierają swoje deklaracje pisane wierszem czy prozą oświadczeniami w publicystyce, w listach z podróży etc. Wydaje mi się rzeczą niewątpliwą, że dla każdego czytelnika pism literackich bardziej interesujące są dziś teoretyczne wypowiedzi o tym, jaka ma być literatura, niż praktyka pisarska, która tych założeń nie sprawdza: zaryzykowałbym zdanie, iż dzieje się tak może dlatego, że teoretycy w obecnej chwili mówią do pisarzy jak Jan na Patmos: „Znam uczynki twoje, żeś nie jest ani zimny ani gorący, bodajżeś był zimny albo gorący. A tak ponieważes letni, a ani zimny ani gorący, wyrzucę cię z ust moich” (Objaw. św. Jana, rozdz. 3, 15, 16), a praktyka pisarska jakgdyby powtarzała: „Stalem się mdłym jako mdły, abym mdły pozyskał” (Do Koryntów, rozdz. 9, 22).

Ostatnie miesiące przyniosły sporo tych wypowiedzi teoretycznych we wszystkich pismach polskich. Dyskutowaliśmy o realizmie w „Kuźnicy”, powołując się na Balzac i innych wielkich mistrzów literatury.

Europejskiej „dyskutowano o realizmie i w „Tygodniku Powszechnym”, powołując się na powieść Jerzego Walldorffa, Sapiensat. Dyskutowali jednak krytycy, pisarze-beletryści przeważnie nie zabierali głosu. Taka sytuacja wydaje mi się niepokojąca, zwłaszcza dziś, gdy pojęcie realizmu w literaturze zostało już dokładnie określone i sprecyzowane na zjeździe szczecińskim, gdy przestaje wystarczać termin „realizm”, który w określonej sytuacji historycznej wymaga już przymiotnika.

To milczenie pisarzy zostało najnieoczekiwanie przerwane. Oto w „Odrodzeniu” (nr 6) pojawiły się w starannym wyborze i doskonałym przekładzie Ziemiowita Fedeckiego fragmenty „Notatnika frontowego” Effendi Kapijewa, młodo zmarłego pisarza dağestańskiego, który jeśli się nie mylił pisał po rosyjsku. Te krótkie notatki pisane na froncie w latach 1941 — 1943 wydają mi się stanowczym zaprzeczeniem cytatu z listu do Koryntów: „Stalem się mdłym jako mdły, abym mdły pozyskał”. Fragmenty notatnika pisarza dağestańskiego pozornie przypominają owe niezliczone żurnale literackie, do jakich przyzwyczaiła nas literatura francuska ostatnich lat przed wojną 1939 roku. Mówię — pozornie. Różnica bowiem polega na tym, że ani jedno zdanie lub ścisłej — prawie ani jedno zdanie tych lakonicznych zapisków nie powstało bez myśli o sprawie ludzkiej: „Do notatnika — pisze Kapijew — należy zapisywać nie fakty i pejzaże, lecz myśli. Myśli przychodzą i odchodzą bez śladu, fakty pozostają, można je ostatecznie wymyślić. Myśli są niepowtarzalne i to, co wczoraj wzruszało nas, dziś jest zapomniane i stracone na za-

wsze”. „Notatnik — czytamy dalej w wypowiedziach Kapijewa — i zawarte w nim notatki są mi potrzebne jak rura wydechowa w samochodzie, jak jęk jest potrzebny choremu... Szczerość — to Bóg uczciwych. Modlitwa i uciekanie się doń jest ich nieodzowną potrzebą, nawet gdyby grzeszyli wobec ludzi świadomie czy z konieczności”. Kapijew w sposób zadziwiająco trafny określa w swoich notatkach istotę pisarstwa i w oszczędnym obrazie rozwiązuje dość szczęśliwie rozmaite literackie spory naszych dni: „W pokoju leży zabity Niemiec. Rozpostarł ręce, wzrok skierował we własny mózg. Obok leży hełm, głowa w kałuży krwi. Nad nim na drzwiach wisi zapomniana tabliczka: „Osobom obcym wstęp surowo wzbroniony”. Przyznam, że po przeczytaniu tych kilku zwiezłych zdań długo zastanawiałem się nad istotą sporów o realizm i formalizm.

Istnieje jeszcze jeden wiele dający do myślenia aspekt tych notatek Kapijewa. Pisał je pisarz dağestański, czytać go będą ludzie w Dağestanie, a także w kilkunastu innych republikach jego ojczyzny. Czytamy go i my — poza granicami ZSRR. Jest według mnie coś bardzo imponującego w tym, że Effendi Kapijew, pisarz dağestański, mógł wylamać się z zakłętego kręgu folkloru, że przemawia do nas językiem nowoczesnym i powszechnym, że wreszcie z głębi wojny, z okopów wypowiada te słowa, których brak może było w wielu wypowiedziach teoretyków, a które tak bliskie muszą być każdemu pisarzowi walczącemu o prawdziwy postęp świata: „Nawet jeden wiersz prozy, napisany dzisiaj uczciwie, będzie z czasem cenniejszy i piękniejszy od wielu książek”. ph.

## KRONIKA RADZIECKA

### Z INSTYTUTU LITERATURY AKADEMII NAUK

W połowie 1948 roku ukazał się pierwszy tom „Prac Sekcji nowej literatury rosyjskiej”, otwierający nową serię wydawnictw Instytutu Literatury Akademii Nauk Związku Radzieckiego.

Dotychczas większość prac tej sekcji Instytutu miała jednolity tematyczny charakter dotycząc materiałów i studiów na temat Radiszczewa, Gleba Uspieńskiego, Gogola, Dostojewskiego oraz „Lat sześćdziesiątych”. Obecnie niezależnie od kontynuacji tych wydawnictw, Instytut przedsięwziął edycję „Prac sekcji nowej literatury rosyjskiej”, które będą ukazywały się periodycznie.

Na „Prace” składają się rozdziały: „Historia literatury”, „Teoria literatury”, „Materializm i notatki” oraz „Kronika”.

Z „Kroniki” zamieszczonej w wydanym pierwszym tomie „Prac” dowiadujemy się o najbliższych podjętych już przez Sekcję pracach.

### Historia literatury rosyjskiej

Sekcja kontynuuje pracę nad kolejnymi tomami wielkiej „Historii literatury rosyjskiej”. Część II tomu VI (literatura pierwszej połowy XIX w.) znajduje się w druku.

Napisany jest VIII tom, obejmujący literaturę lat 60-tych (1855—1860). Główne rozdziały tomu poświęcone są: Nikołasowowi, Turgeniewowi, Gonczarowowi, Pisemskiemu i innym, jak również działalności literackiej Czernyszewskiego. Dobrołubowa i Pisarowa.

Dobiega końca praca nad VII tomem, który poświęcony jest literaturze 30-tych, 40-tych i początku 50-tych lat — Lermontowowi, Bielińskiemu, Gogolowi i „szkole naturalnej”, która przygotowała rozkwit klasykowej poezji rosyjskiej. Po raz pierwszy specjalnie zostaną naświetlane: dramaturgia 30—40 lat oraz poszczególne zjawiska prozy tego okresu.

Podjęto przygotowania IX tomu omawiającego literaturę rosyjską lat 70—80-tych i początku 90-tych. Główne rozdziały tomu poświęcone L. Tolstojowi, Dostojewskiemu, Szchedrinowi i Czechowowi. Tom zawiera

ma również ogólne przeglądy rozwoju prozy artystycznej, poezji, dramaturgii i krytyki.

### Historia krytyki rosyjskiej

Kontynuuje się praca nad „Historią krytyki rosyjskiej” kolegium redakcyjne stanowią: P. Lebiedow-Polański (redaktor główny), B. Mejłach, E. Plotkin, N. Mordowczenko. Praca nad tym wydawnictwem była rozpoczęta przez Sekcję w 1945 r. Tom I (redakcja: G. Gukowski, B. Tomaszewski i P. Bierkow) został zredagowany. Napisano tom II-gi pod redakcją Lebiedowa-Polańskiego i Mordowczenki. Cała praca (w czterech tomach) miała być zakończona w 1948 r.

Zadaniem jej jest ukazanie kierowniczego znaczenia krytyki w kształtowaniu rosyjskiej literatury postępowej, jej roli w rozwoju myśli społecznej, oraz przedstawienie walk i procesów przekształcania się różnych kierunków i szkół krytycznych. Winna ona również odsonić wyjątkowe bogactwo teoretyczne i wielostronne znaczenie klasyków krytyki rosyjskiej dla współczesności radzieckiej.

### Nowe monografie

Sekcja opracowała perspektywiczny plan monograficznych opracowań aktualnych problemów historii literatury rosyjskiej XIX wieku. Współpracownicy sekcji pracują obecnie nad następującymi monografiami: N. Mordawczenko — „Ruch literacki w Rosji lat 1800 — 1826”. B. Tomaszewski — „Puszkina”, B. Mejłach „Puszkina i jego czasy”, B. Gorodecki — „Borys Godunow” A. Puszkina. W. Mamujłow — „Życie i twórczość M. Lermontowa”. I. Jampolski — „Poezja rosyjska po Lermontowie (1840—1870)”. I. Weksler — „I. S. Turgeniew”. B. Ejchenbaum — „Lew Tolstoj”. L. Plotkin — „Droga twórcza Czechowa”. G. Biely — „Czechow a realizm rosyjski”.

Przygotowanych jest szereg rozpraw o Herlenie, Dobrołubowie, Niekrasowie, Szchedrinie i innych, które ukazać się w kolejnych wydaniach „Prac” sekcji lub zbiorach „Literaturnoje Nasledstwo”.

Współpracownicy sekcji przygotowali wiele prac o W. G. Bielińskim. Do publikacji w tomie „Literaturnoje Nasledstwo”, który miał wyjść z druku w stulecie śmierci wielkiego krytyka.

### „Komisja Puszkiniowska” i „Komisja XVIII wieku”

Pracująca w zespole sekcji „Komisja Puszkiniowska” wznowiła w 1945 r. regularne, otwarte posiedzenia naukowe. Komisja kieruje pracą naukową nad odtworzeniem skofiskowanych tekstów Puszkina. Wznawia się wydawanie „Rocznika Komisji Puszkiniowskiej” — obecnie przygotowano do druku VII tom. Jest w przygotowaniu nowe, dziesięciotomowe wydanie utworów Puszkina, które winno się ukazać w terminie do 1949 roku.

Również wznowiła swe prace i „Komisja XVIII wieku”. Odbywa ona regularne, otwarte posiedzenia naukowe i przystąpiła już do przerwanej z powodu wojny pracy nad przygotowaniem trzeciego zbiorowego tomu prac „XVII w.” (dwa pierwsze tomy ukazały się: I-szy w 1935 roku. II-gi w 1940 r.). Komisja przygotowała wydanie III tomu zbioru pism A. Radiszczewa i opracowała prospekt pełnego zbioru utworów M. Lermontowa. w. r. k.

## KORESPONDENCJA

### Jeszcze w sprawie Kleista

ZAMIESZCZONY w 4 numerze „Kuźnicy” (z 30 stycznia br.) list W. Jedlickiego pt. „O właściwym stosunku do literatury niemieckiej” budzi, moim zdaniem, wielorakie zastrzeżenia. Autorka uznająca wybór sztuki Kleista „Rozbity dzban” granicę obecnie przez Teatr W. P. w Łodzi za nader niefortunny, kreśli na marginesie rozważania, z których zdaje się wynikać, że Kleist to po prostu prekursor narodowego socjalizmu.

Nie wchodzę w to, czy wybór tej właśnie sztuki niemieckiej jest trafny. To sprawa do dyskusji.

Wydaje mi się natomiast rzeczą niezmiernie ważną, abyśmy w odniesieniu do skomplikowanego zagadnienia literatury niemieckiej, zwłaszcza z okresu romantyzmu, nie upraszczały zbytbytno zjawisk. Schematyczne i niekompletne ujmowanie zagadnień doprowadzić może do tego, że w całej literaturze niemieckiej nie znajdziemy nic więcej, prócz różnych odmian wrogiego nam nacjonalizmu.

Trzeba, w imię prawdy, powiedzieć, iż tak nie jest. Życie i twórczość Kleista, żyjącego w epoce pełnej sprzeczności społecznych rozwijającego się kapitalizmu, jest niczym innym jak właśnie odbiciem tych sprzeczności. Jak u romantyków wszystkich krajów tego czasu tak i u Kleista występuje zjawisko częstego samotnienia się wewnętrznego, popadania na przemian to w mistykę, to w jakiś idealistyczny radykalizm, to znowu w niezwykłe trafne odczucie prawd przyszłości.

Każdy znający dobrze twórczość Kleista musi stwierdzić, iż tego romantyka cechuje nieustanne poszukiwanie nowych dróg, nieustanne szukanie prawdy artystycznej i społecznej. Przejdźmy do faktów.

W. Jedlicka pisze m. in.: „Henryk von Kleist — mistrz pruskiej poezji”, jak go określa biograf — urodzony w r. 1777 we Frankfurcie nad Odrą, pochodzi z rodziny junkrów brandenburskich. W szesnastym roku życia jako podchorąży pułku gwardii królewskiej bierze udział w oblężeniu i zdobyciu Moguncji. Nienawiść do rewolucji, a następnie do Napoleona towarzyszy mu będzie przez całe życie”.

Szkoda, że autorka nie powiedziała, który biograf nazwał Kleista „mistrzem pruskiej poezji”. Albowiem Kleist, jak zresztą każdy większej miary poeta, miał wielu biografów, którzy starali się wydobyc z jego życia i twórczości to jedynie, co stanowiło podbudowę światopoglądu jakiego reprezentował.

Np. biografowie z czasów Hitlera widzieli w każdym, nawet w Goethem, swojego prekursora.

Prawdą oczywiście jest, że Kleist pochodził z rodziny junkrów brandenburskich. Ale prawdą jest również, że wyłamał się on z tradycji tej rodziny, że porzucił karierę wojskową, która w jego rodzinie była dotychczas czynną świętym.

W liście do jednego ze swoich nauczycieli Kleist pisze, że „do stanu żołnierskiego nigdy nie przywiązałem się sercem” („dem Soldatenstande nie von Herzen zugetan gewesen” — „Heinrich von Kleist's Leben und Briefe”, Berlin, 1840).

Wręcz przeciwnie: nienawidził militarystyki i służby w pruskim wojsku i nie dziwnego, że rychło ją porzucił. Prawdy tej nie mógł ukryć nawet hitlerowski historyk literatury Paul Fechter (pisujący nota bene obecnie w tygodniku „Die Welt” wydawanym przez władze brytyjskie w Hamburgu) pisząc w swojej książce, iż odraza Kleista do militarystyki była tak silna, że nawet w za-

siły służby więcej zajmował się o matematyką, greką, łaciną i filozofią niż żołnierskim rzemieślnictwem („Geschichte der deutschen Literatur”, Berlin, 1941 — str. 450).

O tym wszystkim W. Jedlicka nie wspomina, wskutek czego obraz Kleista przez nią skreślony musimy uznać za niepełny.

Dalej, Nienawiść do Napoleona istotnie towarzyszyła Kleistowi przez całe życie. Ale cóż z tego wynika? Nie jest to wcale równoznaczne z nienawiścią do rewolucji. W wielu sformułowanych Kleist zbliża się do późniejszych osiągnięć doby pozytywizmu. Są również w jego pismach, a zwłaszcza w listach, fragmenty, które w niczym nie kolidują z najlepszymi tradycjami europejskiej myśli postępowej.

A przez dążenie do uspołecznienia nauki i zwalczania uczonych zamykających się w owych przysłowiowych wieżach z kości słoniowej zbliżał się on do stanowiska rozkwitającej w późniejszych czasach wielkiej myśli Karola Marksa.

Oto charakterystyczny fragment z listu napisanego w r. 1801: „Nie mogę Ci opisać jak małym wydaje mi się być człowiekiem czystej wiedzy w porównaniu z człowiekiem czynu. Jeżeli wiedza ma jakąkolwiek wartość, to jedynie wówczas, jeżeli przygotowuje ona do działania”.

Stąd już tylko krok jeden do pojmowania roli i zadań nauki w naszych czasach.

Z tego, co napisałem powyżej, nie wynika oczywiście, że Kleist był koryfeuszem postępu. Nie byłoby to znowu uproszczeniem.

Z tego, co napisałem, wynika natomiast, że Kleist tkwiłacy korzeniami w pełnej sprzeczności społecznych epoki romantyzmu wyrwał się raz poraz z jej pęt wyczuwając kierunki społecznego rozwoju.

Jan Koprowski

